Zeszyt V. Maj

PRZEGLĄD SPOŁECZNY

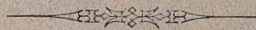
PISMO

naukowe i literackie.

LWÓW
DRUKARNIA POLSKA
1886.

TREŚĆ.

I. SZKICE PROGRAMOWE. III. (Program ludowy) 327
II. KAPITALIZM I MORALNOŚĆ. Przez Dra Antoniego Złotnickiego . 333
III. POLSKA W CZASIE WIELKIEJ REWOLUCJI FRANCUSKIEJ I WPŁYW TEJ OSTATNIEJ NA NIĄ (ciąg dalszy). Przez Bolesława Limanowskiego 343
IV. POŁOŻENIE WŁOŚCIAN I WŁASNOŚCI ZIEMSKIEJ W XIX WIEKU W W. KS. POZNAŃSKIEM. (dokończenie). Przez K. D. . . 356
V. NA DNIE. Nowella przez Iwana Franko 365
VI. TUŁACZ. Przez K. Sosnowskiego 377
VII. SPRAWOZDANIA LITERACKIE.
1. Podstawy teorji poznania w systemie Logiki Dedukcyjnej i Indukcyjnej I. S. Milla przez Al. Raciborskiego. Ocenił Władysław Kozłowski 381
2. Revolution der Literatur von Carl Bleibtreu. Ocenił M. Braude . 382
VIII. KRONIKA SPÓŁCZESNA.
Echa Galicyjskie. Przez Rewerę 385
Kronika Szląska. Przez Franciszka Szybę 389



Szkice programowe.

III.

(Program ludowy.)

Zachowanie i rozwój narodowości polskiej jest warunkiem nieodzownym postępu i rozwoju dwunastu miljonów ludzi do narodowości tej należących,—tak streściliśmy zapatrywanie nasze na kwestję narodowościową u nas.

Wspomnieliśmy już wyżej, iż wyłącznie teoretyczna na pozór różnica pomiędzy naszem zapatrywaniem się na kwestję narodowości a panującą u nas doktryną, pociąga jednak za sobą wiele ważnych i zasadniczych różnic w niektórych punktach praktycznych programu narodowego. Nim jednak te ostatnie rozpatrywać poczniemy, musimy choćby pobieżnie dotknąć kwestji ogólnych ideałów społecznych, traktowanych już niezależnie od sprawy narodowościowej.

Że programy dotychczasowych partji polskich były prawie zawsze mniej lub więcej kastowymi — tego dowodzić nie potrzebujemy. Zrozumiemy, że inaczej nawet być nie mogło, jeśli przypomnimy sobie, że cała przeszłość dzejowa Rzeczy-

pospolitej polskiej posiadała wysoce kastowy charakter: władza państwowa ześrodkowana w ręku jednej warstwy, całe w ogóle życie publiczne zamknięte wyłącznie w sferze tej warstwy — oto cecha najwybitniejsza republiki szlacheckiej. Wprawdzie kraj nasz pod tym względem nie stanowił wyjątku i nie sama Polska w swym rozwoju historycznym okres kastowości przechodzić musiała. Lecz kiedy gdzieindziej obok warstwy przodującej wyrabiały się powoli inne stany, łączone wspólnością interesów klasowych, a rosnąc w siły moralne i materjalne, stworzyły — gdy odpowiednia chwila nadeszła — nowy pokład narodowy, — to u nas — fatalnym zbiegiem okoliczności dziejowych — poza szlachtą nie było w kraju żadnej grupy społecznej, zdolnej do zajęcia stanowiska naczelnego w narodzie. W miastach przeważał żywioł cudzoziemski, żydowsko-niemiecki i sama szlachta skrzętnie usuwała zeń wszelkie pierwiastki rodzime: bo członkom stanu rycerskiego nie było wolno jąć się handlu i rzemiosł pod groźbą utraty szlachectwa, a synom włościańskim wstęp do miasta surowo był wzbroniony. Natomiast żywioły obce nigdzie może nie doznawały tyle zachęty, opieki, protekcji jak u nas w Polsce.

Co do ludu włościańskiego zaś, to ciężka niewola ekonomiczna, w której przez wieki pozostawał, zupełne usunięcie jego od wszelkiego udziału w życiu państwowem i publicznem, tak, iż w końcu nawet w hierarchji duchownej tylko najniższe posady były dlań dostępne, wszystko to przeszkodziło wyrobieniu się solidarnej i spojonej jednością interesów warstwy włościańskiej. Dość, że podczas gdy w krajach zachodnich miejsce ustępującej szlachty zajęła burżuazja i potrafiła ująć w młode, silne i świadome swych celów ręce ster sprawy narodowej; u nas wszelkie dążności do zmiany starego stanu rzeczy skazane były na bezpłodność, bo nie miały szerokiego gruntu w narodzie, niezdolne były poruszyć sił ludowych. I stał się bezprzykładny w dziejach wypadek, że większość narodu obo-

jętnem spoglądała okiem na upadek państwa, na zajęcie swej ziemi przez obcych! Sprzeciwia się zaborom i walczy w obronie niepodległości garstka nieliczna i to wyłącznie z jednego stanu szlacheckiego rekrutująca się.

I ten skład społeczny przetrwał po roku 1795 i ciąży dotąd niby grzech pierworodny na społeczeństwie polskiem. Wśród szlachty przechowywały się i przechowują tradycje narodowe — bo inne stany w Polsce tradycji narodowej nie mają. Wśród szlachty prawie wyłącznie znajdowały poparcie wszystkie hasła narodowe ostatniego stulecia i ona stanowiła główny kontyngens naszych szeregów powstańczych.

Słowem, byliśmy i jesteśmy — wyznajemy to otwarcie — społeczeństwem nawskróś szlacheckiem.

I to jest przyczyną, że dotąd ideały narodowe nasze tak mało udzielają miejsca interesom ludowym, że chłop jest w nich traktowany — zgodnie z tradycjami szlacheckiemi — w najlepszym razie jako martwa bryła, z której tylko szlachetnemi rękami jaśnie wielmożnych coś kiedyś może da się wyrobić. W ruchach zbrojnych lud miał być użyty jako narzędzie nieświadome celu i było rzeczą sprytnych polityków szlacheckich wyzyskać i użyć jego olbrzymią uśpioną siłę.

Atoli rachuba na lud zawiodła, bo on za narzędzie użyć się nie dał. Nie był on na tyle pozbawiony rozsądku i pamięci, by miał zaufać tym, od których przez tyle wieków cierpiał; wyrobiona wiekami nieufność rozwiać się nie dała przez kwieciste i sentymentalne, już podczas walki tworzone, odezwy powstańcze. Przeciwnie, lud ten odnosząc się do powstania — jeśli weźmiemy całą jego masę pod uwagę — obojętnie, posuwając się gdzieniegdzie nawet do chwytania i dostawiania w ręce moskiewskie powstańców, zamanifestował wyraźnie wrogie względem całego ruchu usposobienie.

Nasz punkt widzenia jest pod tym względem zasadniczo odmienny: dla nas lud narzędziem żadnem być nie może, bo szczęście tego ludu to właśnie cel najwyższy naszej pracy społecznej.

I gdyby dla uzasadnienia tej myśli potrzeba było argumentów, moglibyśmy przytoczyć ich sporo, że je tu tylko pobieżnie skreślimy.

Lud — warstwy pracujące narodu — to większość liczebna. Jeśli więc — zgodnie z etyką społeczną — celem działalności winno być osiągnięcie takich form bytu, przy których suma szczęścia byłaby możliwie największą, to drogą ku temu jest popieranie interesów ludowych przed wszelkimi innymi już dla tego jednego, że lud większość liczebną stanowi. Lecz tego niedość...

Taki program — ludowy — kastowym nie jest. Nie idzie tu o wywyższenie jednej warstwy nad innymi. Przeciwnie, nawet interes warstw wyższych, lepiej pojęty, do tego samego prowadziłby celu. Bo jakież może być szczęście jednostek, których dobrobyt materjalny na wyzyskiwaniu ludu ma być oparty? Czy mogą być szczęśliwe, jeśli są zewsząd otoczone nędzą, występkiem, ciemnotą, jeśli im grozi wybuch zemsty ludowej?

Czy przeciwnie nie winien być ideałem dla wszystkich ludzi taki stan społeczny, w którym względna panowałaby równość, gdzie ani zbytku i przepychu u góry, aniby nie było nędzy i zbrodni u dołu. W jakich warunkach powstać może atmosfera moralna, właściwa dla rozwoju uczuć altruistycznych, sympatji, stosunków istotnie harmonijnych między ludźmi? Atmosfera taka to przecież pierwszy warunek szczęścia dla każdej jednostki — zarówno z ludu jak i z warstw uprzywilejowanych —

cokolwiek moralnej, której pragnień nie wyczerpuje grube użycie zmysłowe! Program więc społeczny, dążący w pierwszym rzędzie do urzeczywistnienia interesów materjalnych i moralnych mas ludowych — taki program kastowym nie jest, skoro zapewnia wszystkim osiągnięcie lepszych form bytu.

Wzmocnijmy to rozumowanie tem jeszcze, że dla nas, Polaków, więcej niż dla kogokolwiek zbawiennem być może zdemokratyzowanie ideału i programu narodowego, bo narodowość nasza dziś jedynie na ludzie oprzeć się może. Zapytajmy siebie, dlaczego gubernje mohylowska i witebska tak szybko pozbywają się cech polskości — a Szląsk i Mazowsze prawie w oczach naszych odradzają się? Dlaczego tam kilkudziesięcioletnia rusyfikacja zabiła narodowość polską, a tu kilka wieków germanizacji nie uczyniły kraju niemieckim? Bo tam polską była i jest szlachta tylko, a na Szląsku i Mazurach polskim jest lud prosty, który język swój i narodowość zachowuje silnie i uparcie, wśród najmniej pomyślnych okoliczności.

W końcu potrzeba nam stanąć na gruncie realnych interesów ludowych, tembardziej że kastowość, o której mówiliśmy, dotąd stanowi cechę wybitną społeczności naszej; dotąd jeszcze historycy polscy zaprzeczają polskiemu ludowi prawa do ziemi polskiej, publicystyka i prasa polska są obojętne a częstokroć wrogie dla interesów włościaństwa polskiego — z wyjątkiem jedynie tych krajów naszych, w których dziś już cały ciężar zachowania narodowości na barkach włościaństwa spoczywa; wreszcie dotąd wśród pisarzy, uczonych przeważa u nas żywioł szlachecki i to nam tłómaczy charakter ogólny naszej literatury. Musimy więc, jeśli żyć chcemy, naprawić ten błąd zasadniczy przeszłości naszej, który uczynił lud obojętnym na sprawy narodowe i pozbawia narodowość naszą pewnej i głębokiej podstawy ludowej. I do-

póki tego nie uczynimy, dopóty u nas o odrodzeniu narodowem mowy być nie może.

Program nasz więc musi być ludowym, bo popierwsze: chce tego etyka społeczna, która dobro ogółu, interesa mas ludowych za cel w działaniu społecznem uznaje; bo

powtóre: wówczas tylko wyzwolą się siły uwięzione mas ludowych, które podejmą energicznie i świadomie pracę nad rozwiązaniem problematów społecznego postępu; zachowanie i rozwój naszej narodowości oprą się tem samem na gruncie realnym: sprawa polska stanie się sprawą kilkunastu miljonów ludzi, z którą prędzej czy później państwa i ludy sąsiednie liczyć się będą musiały; bo w końcu

po trzecie: w tem właśnie widzimy idejowe pogodzenie naszych ideałów narodowych z ogólnym demokratycznym ideałem wszechludzkim, w imię którego walczą dziś wszystkie lepsze siły w świecie całym.



Kapitalizm i moralność.

Przez Dr. Antoniego Złotnickiego.

I.

Czyny ludzkie tak rozmaitymi uwarunkowane są wpływami fizycznej jak i społeczno-psychicznej natury, działającymi to bezpośrednio, to pośrednio, że dokładna ich analiza przy dzisiejszym stanie nauki jest zupełnie niemożliwą. Do wpływów fizycznych zaliczyć należy nietylko klimat, położenie geograficzne, pory roku, właściwości gruntu, środki wyżywienia i t. d., lecz także i zupełnie indywidualne współczynniki, jak: płeć, budowa ciała, wiek, temperament, zdrowie, i t. p.

Wpływy psychiczno-społeczne więcej są skomplikowane i trudniej oznaczać się dają w cyfrach. Do tej kategorji należą: instytucje, prawa, stosunki polityczne, militaryzm, wysokość podatków, ceny produktów spożywczych, podział własności gruntowej, stan rolnictwa, przemysłu fabrycznego i ręcznego, handlu, sposoby produkcji, środki komunikacji, finanse, stosunek ludności miejskiej do wiejskiej, zaludnienie, dobrobyt, obyczaje, zwyczaje, przesądy religijne i społeczne, życie rodzinne, nieprawe urodzenia, sztuki piękne, prasa, ideały społeczne, wykształcenie, pozycja jednostki w społeczeństwie i t. d.

Wyśledzić więc istotne przyczyny pewnych czynów ludzkich wobec tak ścisłej łącznosci i zależności wzajemnej wszelkich tych wpływów jest rzeczą nadzwyczaj trudną w pewnym tylko stopniu możliwą.

Cyfry statystyczne nie objaśniają nam jeszcze zjawisk, lecz konstatują tylko ich regularność. Statystyka może być tylko metodą służącą do kontrolowania prawd wiadomych i sprawdzania zjawisk znanych, może śledzić za biegiem idej i celów ducha ludzkiego, do urzeczywistnienia których dąży on nieustannie w historycznym swym rozwoju. Co się zaś tyczy przyczyn samych zjawisk masowych, to te mogą być wyjaśniane tylko drogą ścisłej analizy naukowej. Statystyka, jako rejestr liczbowy czynów ludzkich, również może być pomocną w takich badaniach, może bowiem kontrolować i sprawdzać rezultaty tychże badań.

Statystyka zbrodni nie podaje nam jeszcze rzeczywistych cyfr dokonanych wykroczeń przeciw prawu. Rozmaici statystycy rozmaitych trzymają się zasad przy układaniu swych tablic. Jedni chcą widzieć stopień umoralnienia ogółu w liczbie oficjalnie wiadomych wykroczeń prawnych, inni znowu w ilości wszystkich oskarżonych, lub skazanych. Jedni wyszczególniają stosunek pomiędzy ilością dokonanych przestępstw a ilością zdolnych do przestępstw jednostek, inni zaś stosunek ilości uwolnień od odpowiedzialności do ilości skazanych. Jedni zważają na jakość zbrodni, inni na udział w nich rozmaitych płci, stanów, zajęć i t. d.

Pewną stałość w wykazie cyfr rozmaitych przestępstw, właściwa danej miejscowości, mogąca się jednak nie zgadzać z również stałemi rezultatami statystycznymi innej miejscowości dowodzi, że przestępstwa w ogóle uzewnętrzniają tylko nienormalności zakorzenione w danem społeczeństwie, ujawniają stopień jego kolektywnego umoralnienia.

Przyczyn przestępstw należy szukać w stosunkach społecznych. Każdy człowiek jako członek społeczeństwa odpowiedzialnym jest pośrednio lub bezpośrednio za zbrodnie innych jednostek, żyjących w temże społeczeństwie. Ponieważ wychowanie wykształca zwykle to, co zostało przekazane dziedzicznie od przodków, winy więc lub zasługi są częstokroć właściwościami całej generacji, lub też odbiciem obyczajów otaczającego społeczeństwa, lub wreszcie wyrazem społeczno-ekonomicznych stosunków danej miejscowości. W każdym razie są to chorobliwe symptomaty duchowo-moralnego rozwoju społeczeństw. Regularność w ich powtarzaniu się jest oczywistym dowodem chorobliwego stanu całego społeczeństwa we wszystkich jego warstwach..

„Zbrodniarze — powiada A. Corne*) — nie powinni być uważani za wyrzutków społeczeństwa, połączeni są bowiem z niem tak ściśle jak rana z ciałem."

Społeczeństwo — mówi Quetelet**) — przysposabia grunt do przestępstwa, przestępca zaś sam jest tylko narzędziem je wykonywującem. Ztąd więc wypływa, iż nieszczęśliwy składający swą głowę na rusztowaniu, lub w więzieniu kończący swe życie, staje się w pewnym stopniu ofiarą odkupienia dla społeczeństwa. Przestępstwo jego jest wynikiem warunków, wśród których się znajdował."

„Nie pojmuję — powiada autor Zasad nauki społecznej***) jak można mieć serce potępiać ludzką istotę, mężczyznę lub kobietę za czyn popełniony w dzisiejszym stanie naszego społeczeństwa. Życie jest zanadto ciężkie dla nas wszystkich. Nie moglibyśmy być uczciwi i szczęśliwi, nawet gdybyśmy chcieli i trzeba się dziwić, że wśród okrutnych warunków, które nas otaczają, człowiek może zdobyć się na jaką cnotę. Niech inni ganią tę lub ową osobę za czyny, do których zmusiła ją żelazna ręka losu; kochające i szlachetne serce co innnego uczyni. Zamiast potępiać zastanawiać się będzie nad ratunkiem i zadawać sobie to wielkie pytanie, czy nie można coś zrobić, ażeby odmienić ten straszny stan

*) A. Corne. Essai sur la criminalité. Journal des Economistes. 1868. Janvier. p. 76.

**) Quetelet. Sur l' homme et de ses développements. T. II. p. 341.

***) Zasady nauki społecznej, przez Dra. medycyny. Genewa 1880. Str. 320.

rzeczy i niedopuszczać tych okropnych nieszczęść?..... Co może znaczyć cnota lub wszelki inny wzgląd dla tych, co nie mają chleba? Jest to wyraz okrutny, który czyni nędzę jeszcze okropniejszą i jeszcze dotkliwszą."

Statystyka lat ostatnich wykazuje ciągłe zniżanie się poziomu moralności wszędzie, szczególniej zaś tam, gdzie ustrój kapitalistyczny coraz więcej zdobywa pola dla swego rozwoju, coraz silniej przejawia się w życiu pulicznem we wszystkich jego sferach. Zjawisko to jest zupełnie naturalnem, kapitalizm bowiem stwarza warunki sprzyjające rozwojowi nędzy, musi więc wpływać demoralizująco na społeczeństwo. Wielkie centry fabryczne są zarazem głównemi ogniskami fizycznego i umysłowego wyradzania się, ogniskami prostytucji i zbrodni. To samo stosuje się do miejscowości mniej fabrycznych, gdzie koncentracja własności ziemskiej wytwarza proletarjat rolny. Kapitalizm w tej lub innej formie uprawia pole, na którym bujnie się krzewią: pijaństwo, choroby umysłowe i inne, rujnujące zdrowie mas tak fizycznie jak i moralnie.

Niżej podane cyfry statystyczne przestępstw notowanych w ostatnich latach w rozmaitych krajach Europy wykazują stopniowe i ogólne zwiększanie się tychże i przekonywają nas, że narzekania na ciągły upadek moralności nie są wcale pustym frazesem.

II.

Zanim przejdziemy do wyjaśnienia wpływów kapitalizmu na moralność, zastanówmy się na chwilę nad kwestją wpływu oświaty na moralność, poruszaną w naszej prasie parę lat temu.

Wypowiedziane przez Corne'a całkiem ogólne zdanie, „gdzie największa ignorancja, tam także najwięcej zdarza się przestępstw" najzupełniej jest fałszywe. Pobieżny rzut oka na mapę Guerry'ego wystarczy, by nas przekonać, że najciemniejsze pod względem oświaty departamenty Francji, jak n. p. środkowe (Allier, Haut-Vienne, Indre, Cher, Nièvre, a szczególniej Creuse) przedstawiają się najkorzystniej pod względem nieznacznej frekwencji przestępstw w ogóle, podczas gdy górująca wykształceniem część północno-wschodnia (od departamentu Sekwany do Meuse i Bas-Rhin) uwydatnia się szczególniej w przestępstwach przeciw własności, a pod względem ilości przestępstw przeciw osobom zajmuje miejsce także nie ostatnie. Podobnież i w Anglji. Do najwięcej wykształconych miejscowości należą okolice Londynu ku południu od Tamizy aż do morza (Middlesex, Surrey, Kent), najmniej wykształcone leżą ku północy od Londynu (Essex, Bedford, Herford, Cambridge, Norfolk) i na skrajnym zachodzie (Glamorgan, Glocester). W okręgach pierwszych t. j. w okręgach największej oświaty najwięcej także znajdujemy

przestępstw, w zachodnich zaś, najmniej wykształconych — frekwencja przestępstw jest stosunkowo nieznaczną. *)

Statystyka urzędowa Austrji liczyła w 1875 r. pośród przestępców:

Analfabetów	15.063
Umiejących czytać i pisać	13.989
Z wyższem wykształceniem	113

W Galicji różnica ta więcej się uwydatnia wskutek większej ilości nie umiejących czytać i pisać pośród ogółu ludności.

Analfabetów	6.420
Umiejących czytać i pisać	823
Z wyższem wykształceniem	39

Cyfry te zdają się przemawiać na korzyść umoralniającego wpływu oświaty. Wziąwszy jednak pod uwagę warunki ekonomiczne tych przestępców, otrzymamy cyfry wymowniejsze jeszcze od powyższych i jaśniej nam tłumaczące, gdzie należy szukać rzeczywistego źródła przestępstw. Stosunek zamożnych i nic nie posiadających przestępców wyrażał się w następujących cyfrach:

W Austrji		
Przestępców	nic nie mających . .	25.544
„	posiadających cośkolwiek	3.317
„	zamożnych . . .	304
W Galicji		
Przestępców	nic nie mających . .	5.961
„	posiadających cośkolwiek	1.161
„	zamożnych . . .	160 **)

Nie dowodzi to jeszcze bynajmniej, ażeby oświata wywierała wpływ ujemny na moralność. Przeciwnie! Wyższa oświata wpływa niewątpliwie umoralniająco; nie daje się jednak ocenić w cyfrach, inne bowiem silniej działające czynniki paraliżują częstokroć dobroczynne skutki oświaty i uniemożliwiają wykrycie sposobu jej działania. Tylko wyższe wykształcenie może umoralniać człowieka, umiejętność zaś czytania i pisania nie wywiera żadnego wpływu dodatniego na moralność.

Przestępców umiejących czytać i pisać liczono w roku 1873 i 1874 w Rosji 29%, podczas gdy posiadający elementarne wykształcenie stanowili zaledwie 8% całej ludności.

Na 1000 osądzonych przestępców znajdowało się w roku 1875 według E. Bratassevic'a:

---

*) v. Oettingen. Die Moralstatistik 1882. S. 596.

**) Statist. Jahrbuch f. d. J. 1875. Wiedeń 1877.

	Bez wykształcenia.	Z element. wykszt.	Z wyż. wykszt.
We Francji	320	640	40
W. Brytanji	334	665	1
Belgji	372	549	79
Prusach	496	484	20
Austrji	516	479	5
Węgrzech	564	424	12
Włoszech	700	240	60
Rosji	717	263	20

Czy z cyfr powyższych można wyprowadzić jaki wniosek o wpływie oświaty na moralność?

Podczas polemiki, o której wspomnieliśmy wyrażono zdanie, że „cyfry statystyczne wtedy tylko będą mogły stanowczo wyjaśnić wpływ oświaty na moralność, kiedy obók ludzi oświeconych, obok liczby przestępstw w danem społeczeństwie, postawią także liczbę uczynków dobrych". Zdaje się jednak, że i statystyka „uczynków dobrych" nie dopomogłaby w niczem do wyjaśnienia wpływu oświaty na moralność, jeśliby i wtedy nie przyjmowano pod uwagę innych, daleko ważniejszych wpływów, mianowicie ekonomiczno-społecznych.

„Wykształcenie intelektualne — mówi Oettingen*) — nie czyni człowieka lepszym, lecz co najwyżej odpowiedzialniejszym, przy niezmieniającym się zaś poziomie moralnym — gorszym raczej". A Maudsley**) powiada, że „wiele inteligencji znaleźć się często może w połączeniu z nizką moralnością i wiele moralności z małą inteligencją".

Jeżeli ogniska oświaty są zarazem miejscowościami górującemi nad innemi pod względem przestępstw, to dla tego jedynie, że miejscowości te są również ogniskami rozwoju kapitalistycznego, największego zbytku i największej nędzy. Moraliści jednak ignorują ten czynnik potężniejszy niż wiele innych i dla tego nie mogą znaleźć odpowiedzi na często zadawane sobie pytanie: dla czego cywilizacja tak uniemoralniająco wpływa na społeczeństwo?

III.

Brak moralnego uczucia jest często wynikiem anormalnej organizacji mózgu, naruszonej lub powstrzymanej w rozwoju przez czynniki wewnętrzne, organiczne, jak choroby mózgu, albo też przez warunki zewnętrzne, społeczne, jak zły przykład, brak wychowania, nędza i t. d.

*) v. Oettingen. l. c. S. 533.
**) H. Maudsley. Le crime et la folie. Paris 1874 p. 32.

Na 100 uwięzionych przestępców przypada, według Dra Baer'a*), 1 do 3 chorych umysłowo, podczas gdy wśród ogółu ludności — tylko 1 do 3 na tysiąc. „Istnieje pewne stałe podobieństwo w treści i istocie pomiędzy zboczeniami umysłu i przestępstwem; wypływają one z występnego życia i więzienia i często rozpoznać w nich można dalsze działanie skłonności przestępczych.“

Dr. A. Bordier*) robiący studja nad czaszkami morderców, powiada, że zbrodniarze przedstawiają pewną niższość intelektualną, rodzą się z charakterami właściwymi rasom przedhistorycznym,. a zanikłymi wśród ras dzisiejszych, przejawiającymi się jednak jako następstwo atawizmu. Rozumiany w ten sposób zbrodniarz jest anachronizmem, dzikim w kraju cywilizowanym, rodzajem potworu, czemś co można porównywać tylko ze zwierzęciem, które będąc zrodzone z rodziców oswojonych, przywykłych do pracy, staje się nagle dzikiem, podobnem do swych przodków. Są to zwierzęta uparte, dzikie, nieuległe — są to zbrodniarze.

Oprócz atawizmu na zwiększanie się tej kategorji istot wpływają także przyczyny patologiczne. W pierwszym razie istoty te rodzą się zbrodniarzami, w drugim — stają się nimi.

Dr. Lombroso***) uważa również charakter czaszki kryminalistów za więcej zbliżony do czaszek ras dzikich i przedhistorycznych. Większość zbroniarzy posiada typ, t. zw. kryminalny, mianowicie: asymetrja i nieregularne rysy twarzy, czoło nizkie, wyraz brutalny i t. d.

Z 79 badanych przezeń małoletnich przestępców tylko 8 % było fizycznie normalnych. Z 160 dzieci, wychowanych w szkółkach i ochronkach, 89 zaliczano do moralnych i 71 do niemoralnych. W pierwszej kategorji fizycznie nienormalnych znaleziono 30%, w drugiej — 69%.

Lacassagne, zbadawszy 800 skazanych wchodzących w skład drugiego bataljonu infanterji w Afryce, znalazł pośród nich 185 odznaczających się niezwykłą długością rąk, charakteryzującą rasy pierwotne.

Według badań A. Foville'a****) mordercy są przeważnie szerokogłowi, złodzieje zaś długogłowi: z 42 czaszek morderców 32 należało do szerokogłowych, 5 do długogłowych i 5 do średniogłowych; z 16 czaszek złodziei 9 było długogłowych, 4 szerokogłowych i 3 średniogłowych. Objętość czaszki mniejszą jest u przestępców od zwykłej; u złodziei mniejszą niż u morderców. Taka nienaturalność w rozwoju czaszki pochodzi za-

*) Blätter für Gefängnisskunde. 1873. Bd. VII. S. 185.

**) Revue d' Anthropologie. Paris. 1879. T. VIII. p. 278 i 285.

***) Archivio di Psichiatria. Scienze penali ed Antropologia criminale 1883. T. IV.

****) Annales d' Hygiêne publique. Paris. 1880. T. IV S. 327 i 420—421.

pewne wskutek niedostatecznego i nieregularnego odżywiania młodych, wycieńczonych nadmierną pracą organizmów. Skłonność do przestępstw jako choroba umysłowa często bywa odziedziczaną i następnie nowemu przekazywaną potomstwu. Z 709 osób familji Juke, badanych przez Lombroso, 142 należało do kategorji włóczęgów, 128 zajmowało się prostytucją i 131 uznano za ułomnych fizycznie i umysłowo. Pomiędzy 175 więźniami 10 miało ojca skazanego, 6 matkę i 53 braci skazanych do więzienia. Badania czynione przez Lombroso nad innymi więźniami pokazały, iż 26.8 % z pomiędzy nich pochodziło z rodziców przestępców. Ludzie ci pomimo ich niepoczytalności kończą najczęściej swe życie w więzieniu. Wielką tę niesprawiedliwość Kraft-Ebing*) porównywa dość trafnie z biciem sparaliżowanego za to, że tenże z miejsca nie może się poruszyć.

IV.

Przejdźmy teraz do cyfr statystycznych przestępstw, notowanych w rozmaitych krajach i przypatrzmy się ich wzrostowi.

Statystyka kryminalna Prus wykazuje niezwykły wzrost przestępstw po ostatniej wojnie, szczególniej przestępstw przeciw własności. Bankructwa spowodowane oszustwem podniosły się z 59 w 1871 r. do 148 w 1878 r., fałszerstwo monet — z 78 do 148, oszustwa i rabunki — z 330 do 1147, podrabiania świadectw — z 1344 do 2688 wypadków, przestępstwa przeciw obyczajowości — z 501 do 2105 *). Takie „zdziczenie obyczajów“, jak je autor przytaczający powyższe cyfry nazywa, przypisać należy nie „brakowi pietyzmu“, lecz szybkiemu rozwojowi kapitalizmu w ostatnich latach.

Stosunek przestępstw w oddzielnych prowincjach pruskich, podług statystyki urzędowej z r. 1876 **), jest następujący:

	Jeden oskarżony przypada na
W Poznańskiem . .	2.813 mieszkańców.
W Prusach . . .	2.938 „
W Brandeburgji . .	3.455 „
Na Szlązku . . .	3.640 „
Na Pomorzu . .	4.407 „
W Prowincjach Nadreńskich	5.141 „
W Saksonji pruskiej .	5.668 „
W Westfalji . .	6.388 „

*) Kraft-Ebing. Criminal psychologie. Erlangen 1868. S. 9.
**) A. v. Oettingen. Die Moralstatistik. Erlangen. 1882. S. 476.
***) Statistik der preussischen Schwurgerichte. Berlin 1876.

Zachodnie prowincje pruskie mniej, jak widzimy, liczą przestępców niż wschodnie, co przypisać należy jedynie warunkom ekonomicznym gorszym znacznie od tych ostatnich. W prowincjach zachodnich przeważają przestępstwa przeciw osobie, we wschodnich — przeciw własności.

Przestępstwa przeciw własności podniosły się również znacznie w Bawarji, mianowicie z 19.645 w 1872 r. do 26.513 w r. 1877, t. j. o 35%; przestępstwa zaś przeciw osobie więcej jeszcze: z 30.308 do 50.000 prawie, czyli o 65%.

Stosunek wzajemny przestępstw w Saksonji jest taki sam mniej więcej jak w Prusach. Kradzieże zmniejszyły się wprawdzie z 65.42% w 1871 r. do 46.97% w r. 1878, lecz zabójstwa natomiast wzrosły z 3.09% do 10.01%. W Austrji oraz Norwegji odwrotny spostrzegamy stosunek; we Francji zaś i Anglji znajdujemy to samo co w Niemczech, w mniejszym jednak stopniu.

Suma wszystkich przestępstw i przewinień we Francji, dochodząca w 1872 roku do 152.167, wzrosła do 163.749 w roku 1878. Najwięcej podniosła się w tym czasie cyfra gwałceń dzieci, mianowicie z 17.2% do 23.9%.

W Anglji wszelkie wykroczenia przeciwko prawu, wynoszące w r. 1857 — 61 przeciętnie 406.967, w r. 1872 — 76 wzrosły do 631.907, a w r. 1878 dochodzą do 693.145, t. j. 27.5 występków karnych w stosunku do 1000 mieszkańców. W Szkocji w tymże roku przypadało 41.25, a w Irlandji aż 51.1 przestępstw i przewinień w stosunku do 1000 mieszkańców.

Ilość osądzonych przestępców we Włoszech zwiększyła się od roku 1863 do 1879 o 70%, podczas gdy ludność wzrosła tylko o 15% w tymże czasie*).

W Niemczech więc i Włoszech, jak widzimy, tendencja ku zbrodni przejawia się daleko silniej w ostatnim szczególniej lat dziesiątku, frekwencja przestępstw w większym występuje stopniu, niż we Francji i Anglji. Dzieje się to jednak nie dzięki zobojętnieniu religijnemu, nie z braku pietyzmu, lecz w skutek silniejszego w ostatnich latach (w stosunku do lat poprzednich) rozwoju kapitalizmu w Niemczech i Włoszech, niż w Anglji i we Francji.

Niżej podana tablica, ułożona podług cyfr Engel'a**), chociaż nie jest zupełną, popiera jednak zdanie powyższe w dość wyraźny sposób.

---

*) v. Oettingen. l. c. S. 477 — 480, 432 i 458.
**) E. Engel. Das Zeitalter des Dampfes. Berlin. 1881. S. 130. 179—183.

Ilość maszyn przemysłowych i rolniczych:

	1860 r.		1870 r.		1875 r.		1878 r.	
	Maszyny	Siła konna	Maszyny	Siła konna	Maszyny	Siła konna	Maszyny	Siła konna
W Prusach	7.000	142.658	—	—	28.783	632.067	35.431	958.366
Francji	14.513	177.652	27.008	336.030	33.060	407.220	38.880	492.418
Anglji	—	—	—	936.405	—	—	—	blisko 2 miljony?
Belgji	4.410	99.601	—	—	—	—	11.837	374.363
Saksonji	1.003	15.663	—	—	—	—	5.022	134.268
Austrji	2.882	46.996	—	—	9.160	157.279	—	—
Włoszech	—	—	—	—	—	—	4.459	54.231

Pomimo braku wielu cyfr można jednak zauważyć szybszy wzrost maszyn w Prusach i Saksonji niż we Francji i Belgji. Wzrost maszyn w Anglji, choć przewyższa w szybkości wzrost maszyn we Francji i Belgji, jest jednak, o ile nawet z tak niezupełnych cyfr sądzić można, powolniejszym niż w Prusach i Saksonji. Wielka konkurencja i częste kryzysy,

przez nadmiar produkcji spowodowywane, utrudniają wzrost fabryki i powstrzymują rozwój industrji.

Zwiększające się ciągle cyfry recydywistów świadczą również o niekorzystnem oddziaływaniu cywilizacji na ogół, o ujemnym wpływie kapitalizmu na moralność. Recydywiści wprawdzie w znacznej części są ludźmi chorymi, niepoczytalnymi, wielu z nich jednak dostaje się do więzień dzięki nędzy tylko, gdyż i ci niepoczytalni zawdzięczają często stan swój temu demoralizującemu czynnikowi. To też w krajach stojących na nizkim stopniu cywilizacji i mało przemysłowych, mniej bywa recydywistów, niż w krajach przodujących w cywilizacji i przemyśle. Niżej podane cyfry wykażą to najlepiej.

Od 1850 do 1854 r. liczono we Francji pośród oskarżonych o zbrodnie przeciętnie 30.9% recydywistów i pośród oskarżonych o wszelkie przewinienia 20.5% recydywistów. W r. 1855 do 1860 cyfry te podniosły się do 35.3% i 24.5%. W r. 1867 do 1870 ogólna cyfra recydywistów dochodziła do 41%, w 1876 r. — do 47%, w 1877 r, — do 48%, w 1878 r. — do 49%, w 1879 r. — do 50%, i w 1880 r. — do 51%. Kobiet należących do tej kategorji przestępców liczą przeciętnie około 31%.

W Anglji recydywiści stanowili w 1841 do 1853 r. 25.3% wszystkich uwięzionych, w 1857 do 1861 r. — 30.5%, w 1867 do 1871 r. — 24.5%, a w 1878 r. — 40%. Pomiędzy młodymi więźniami, niżej lat 17, cyfra recydywistów większą jest jeszcze. Gdy poczwórni recydywiści w ogóle stanowili 6.2%, recydywiści tejże kategorji niżej lat 17 liczyli aż 14%.

W Prusach liczono w 1877 r. 31.9% recydywistów w zbrodniach i 5.9% w przewinieniach.

W Austrji w tymże roku notowano 25.5% recydywistów i 19.3% recydywistek w zbrodniach, oraz 23% recydywistów i 17% recydywistek w przewinieniach.

W Belgji liczono w 1874 — 75 r. 63.8%, w Szwecji w 1867 — 70 r. — około 30% i w Rosji w 1875 r. 18.3% (około 14% kobiet) recydywistów. *)

Wzrastający udział kobiet w przestępstwach w stosunku do cyfr przestępców mężczyzn dowodzi zwiększającego się udziału kobiet w życiu publicznem, w społecznej walce o byt. Kapitalizm wyrywa je z domowego ogniska, każąc im współzawodniczyć na arenie życiowej z jednostkami płci silniejszej, urównouprawnia je z niemi w fabrykach, przy warsztatach i otwiera przed nimi drzwi domów publicznych, szpitali i więzień.

*) Cyfry te czerpane głównie z cytowanego wyżej dzieła Oettingena S. 465—469.

Zwiększanie się więc cyfr kryminalistek i prostytutek nie jest żadną anomalją w dzisiejszym ustroju kapitalistycznym, lecz koniecznym jego wynikiem. To też tam gdzie ustrój kapitalistyczny dosięga wyższych faz rozwoju, tam i udział kobiet w przestępstwach okazuje się większym, o czem przekonać nas mogą następujące, chociaż zdaje się nie zupełnie dokładne cyfry.

Na 100 oskarżonych w 1876 r. przypadało:

	Mężczyzn	Kobiet
W W. Brytanji	79	21
Holandji	81	19
Belgji	82	18
Francji	83	17
Austrji	83	17
Prusach	85	15
Saksonji	85	15
Prowincjach Nadbałtyckich	86	14
Rosji	91	9*)

(Dokończenie nastąpi.)

Polska w czasie wielkiej rewolucji francuskiej

i wpływ tej ostatniej na nią.

Przez

Bolesława Limanowskiego.

(Ciąg dalszy).

W czasie sejmu czteroletniego Staszic wraz z Jędrzejem Zamojskim i jego synami bawił w Warszawie. Tak samo jak niemal wszyscy patryjoci, pokładając wiele nadziei na sejm, tem mocniej martwił się, widząc jak wiele czasu marnowano na nieważne rzeczy, jak rozmyślnie przedłużano rozprawy, jak ambicyje pańskie i przesądy szlacheckie groziły opuszczeniem jedynej zbawiennej chwili dla ratowania ojczyzny. Szczególnie oburzali go panowie. „Z panów — powiadał — na tym sejmie największe trudności. Mówię to jako na sejmie przytomny, — sama szlachta nieszczęśliwą ojczyznę dźwiga. [1]) „Od stu lat blisko panowie polscy

*) v. Oettingen. l. c. S. 523.

[1]) Str. 123. Przestrogi.

wszystko mają z kraju, a żaden z nich nic dobrego nie uczynił krajowi... Z samych panów zguba Polaków". [1]) „Okązują najlepiej, czem są panowie, te przy rozbiorze kraju od nich wyrzeczone słowa": „Niech się dzieje z krajem co chce. Ja to wiem, iż zawsze w mojej wsi będę wójtem". [2])

Szlachcie nie było można odmówić miłości ojczyzny; chciała ona ją szczerze ratować i gotowa była na wielkie w tym względzie ofiary. Widział to Staszic, i dla tego do niej to głównie, do jej uczucia zwracał się w swoich *Przestrogach*. Kadzidła jednak nie palił jej. Głęboki jego umysł filozoficzny pochwycił tę ważną odmianę społeczną, która zaszła w całej Europie i w Polsce także odbywała się. Z ustanowieniem stałego wojska, „stanu gotowego żołnierstwa", szlachta straciła swoje dawniejsze znaczenie stanu rycerskiego. Syn mieszczański przypomina z boleścią szlachcie, „że straciła Polska najbogatszą połowę ziemi; zginęła połowa najcelniejszych Polaków; a stan obrony narodu, stan jego rycerstwa, nie tylko przy obronie Polaków krwi nie przelał, ale nawet szabli nie dobył". [3]) Skoro więc szlachta zrzekła się dobrowolnie obrony kraju, nie może ona rościć sobie prawa do znaczenia stanu rycerskiego. Szlachta nie jest całym narodem, jest tylko jego cząstką. W najlepszym razie mogłaby się uważać za reprezentanta tylko narodu. W takim razie nie powinna myśleć tylko o sobie, lecz o całym narodzie; nie powinna zapewniać sobie tylko wszystkie korzyści, a resztę skazywać na ugnębienie i uciemiężenie. Dotąd wszakże szlachta miała zawsze sama siebie tylko na widoku. Nawet na obecnym sejmie, wyrzucając z projektu do ustawy przyszłego rządu te słowa: *zabezpieczenie i zachowanie wolności, własności i równości każdego obywatela*, okazała, iż nie pojmuje swego istotnego położenia. „Natenczas tem jest w Polsce szlachta do narodu polskiego, czem są w krajach sąsiedzkich jedynowładcy do narodów tamecznych". [4]) Wszakże gdyby szlachta uważała siebie za absolutnego nawet pana w Polsce, to i w takim razie powinna ona dbać dla własnego interesu więcej o narodzie. Powinna przecież zrozumieć, że „część utrzymywać się nie może, gdy całe ciało zniszczeje"; [5]) że skoro nie chce, nie może lub nie umie bronić kraju, piękniej jest, zamiast okupowania sobie pokoju ustępowaniem prowincyj, miast i t. d., słowem „marnotrawnem rozdawaniem narodu polskiego" [6]) szukać

[1]) Str. 87.
[2]) Str. 95.
[3]) Str. 5.
[4]) Str. 8.
[5]) Str. XII.
[6]) Str. XIX.

obrony dla siebie w związku ścisłym z tym narodem. Wzywa więc gorąco szlachtę, aby się ratowała, póki jeszcze pora, i zamiast utracić swoje swobody i wolność, zabezpieczyła je, upowszechniając swoje prawa na wszystkich mieszkańców i powiększając w taki sposób liczbę obywateli swobodnych i wolnych.

Przedewszystkiem Staszic wzywa szlachtę, by poprawiła dolę ludu wiejskiego, by odmieniła poddaństwo i pańszczyznę. „Jakiekolwiek poczynicie w Rzeczypospolitej ułożenia — powiada — jakiekolwiek porobicie w jej rządzie poprawy, jeżeli tej fundamentalnej ustawy nierządu feudalnego nie wzruszycie, będą to tylko odmiany powierzchowne. Przedłużą ale nie odwrócą od narodu tej nieszczęśliwej epoki, tego powszechnego zburzenia, w którem nas ogarnie wewnętrzny albo zewnętrzny despotyzm“. [1]) „Wagą szczęśliwości publicznej — zauważa w innem miejscu jest szczęśliwość rolnika. Gdzie rolnik, bądź pod nazwiskiem wieśniaka, bądź pod imieniem wzgardy chłopa, jest nędzny; tam koniecznie cały kraj nędznym i wzgardzonym być musi. Jeżeli rolnik jest niewolnikiem, czeka kraj cały niewola“. [3]) Żąda więc od sejmu, aby zniósł pańszczyznę, która „tak jest dzikiej natury, że ani pańszczyzna z sprawiedliwością, ani sprawiedliwość z pańszczyzną zgodzić i cierpieć się nie mogą“, [3]) i aby postanowił jej zamianę albo w wydziałową robotę albo — co nie równie użyteczniejsza dla kraju — w czynsz, zachęcając do zaprowadzania tego ostatniego przyznawaniem nagrody obywatelskiej. Ilość roboty wydziałowej powinny oznaczać sejmiki gospodarskie każdego województwa, a zatwierdzać ostatecznie ma sejm. W przypadku nieporozumień, rozstrzygać będą sądy rolnicze, złożone z trzech osób: jednej ze stanu szlacheckiego, drugiej ze stanu miejskiego i trzeciej ze stanu rolniczego. Od tego sądu można będzie się odwoływać do sądów referendarskich, w których stan rolniczy mieć będzie także swojego reprezentanta asesora. „Potem prawo urządzi rolnika stan polityczny: powróci człowiekowi wolność naturalną, t. j. każdy gospodarz, który obejmie grunt, obejmie go na całe życie. Przeto dziedzic nie może go z tego gruntu zrzucić bez okazania mu w sądzie, iż nie posłuszny prawu, nie odbywał porządnie wydziałowej roboty, albo w dobrach czynszowych iż czynszu nie płacił. Na wzajem, gospodarz żaden już tego gruntu porzucić, ani z niego pójść nie może, chyba gdy na swoje miejsce innego gospodarza stawi, albo przekona dziedzica, iż go nad prawo krzywdził. Dzieci zaś, które nie obejmą gruntu, wszystkie są wolne. Wolno im uczyć się rze-

[1]) Str. 181.
[2]) Str. 135.
[3]) Str. 200.

miosła, obsiadać w miastach, obsiadać w innych wsiach. Żenić się z temi, z któremi im Bóg i religija pozwala". [1])

Co do mieszczan, to szlachta, zatrzymując dla siebie pierwszeństwo, zaszczyt urodzenia i godności, powinna porównać ich z sobą co do urzędów cywilnych i wojskowych i co do prawodawstwa. Reprezentanci miast mają w jednej izbie obradować ze szlachtą. „Niechaj będzie sto reprezentantów szlachty i sto reprezentantów z miast. W proporcji ludności, będzie to przywilej jeszcze wielki dla szlachty". [2])

Żydów Staszic sądzi surowo, za surowo nawet. Zupełnie jednak słusznem było jego żądanie, aby „żydzi w miastach równie jako innych religii mieszkańcy podlegali zupełnie magistratowi i rządowi miasta, nie mogąc mieć żadnych osobnych urzędników". [3]) Zalecał, aby wychowanie ich poddać Komisyi edukacyjnej w celu zupełnego „wykorzenienia w nich ducha zgromadzenia i stanu". Mniemał także, iż należy niepozwalać żydom szynkować trunkami i niepozwalać żydowi żenić się, „dopokąd albo nie chwyci się, albo nie wyuczy jakiego rzemiosła".

Dzieło Staszica, o którem mówimy, składa się z dwóch części: z teoretycznej rozprawy o podstawach społecznego i politycznego ustroju i z praktycznych wskazówek co do istniejącego stanu rzeczy w Polsce. Rozważmy więc je w takim że podziale pokrótce.

Przedstawiwszy główne podstawy wszelkiego ustroju, autor mówi o *prawie człowieka* czyli „o związkach człowieka z światem, z sobą samym i z innemi ludźmi". Wylicza więc niezbędne objawy życia ludzkiego osobistego i z tego wyprowadza wnioski. Trzy główne wnioski są następujące: 1) „ludzie, co do praw, wszyscy są równi; co do sposobu używania tych praw, nie są wszyscy równi"; 2) „ta nierówność daje im wspólne potrzeby, i każdego człowieka do życia w towarzystwie koniecznie przymusza"; 3) „moc i rozum większej części ludzi są nienaruszoną praw człowieczeństwa warownią". [4]) W dalszych pośrednich wnioskach język Staszica staje się jaśniejszy. Wnioskami temi są: „równość, wolność i własność są najpotrzebniejszym i najprostszym wnioskiem człowieka"; wszyscy ludzie rodzą się równemi; ponieważ „wszelkie dla ludzi bogactwo znajduje się w ziemi", więc każdy powinien mieć możność nabywania pracą własności gruntowej; wreszcie „tylko użyteczność stanowi między ludźmi różność". [5])

---

[1]) Str. 230.
[2]) Str. 239.
[3]) Str. 252.
[4]) Str. 8 i 9.
[5]) Str. 10.

Staszic pojmował również, że poddańcze, zależne położenie kobiety nie daje się pogodzić z zasadą równości wszystkich. „Najpierwszy gwałt praw natury — pisze w Przestrogach — był wykonany na kobietach. Najpierwszym niewolnikiem była żona. Daleko później i z większą trudnością zagarniono w niewolę rolnika“. [1]) „Bóg dał — powiada dalej — równie kobietom jak męszczyznom wolę i rozum. Słuszność i dobro kraju wyciąga, aby równe było prawo dla męszczyzn i dla białychgłów “. [2])

Zgodnie ze sprawiedliwością, wolność i własność obywatela może „rozciągać się tak daleko, dopokąd nie szkodzi prawu obywateli innych“. [3]) W rzeczywistości jednak, w tym względzie społeczeństwo musi stosować się do innych społeczeństw, z któremi jest powiązane. Z tego powodu, „wszystkie narody powinny być stróżem i obrońcą, aby nigdzie wolno nie było naruszyć praw człowieka“. [4])

„Dzisiaj już cała ziemia podzielona, obsiadła, jest najsprawiedliwszą własnością tego, co ją uprawia“. [5]) W rozumieniu tem jednak Staszic nie szedł tak daleko, jak po 1831 r. niektóre gminy (Hawr) Towarzystwa demokratycznego Polskiego, które wyszedłszy z tejże zasady, przyszły do tego wniosku, że ziemia powinna być własnością tylko tych, co ją własnemi rękami uprawiają. Autor oczywiście mówi zawsze o własności osobistej, chociaż nie był wcale bezwzględnym jej wielbicielem. „Zawsze niepożytecznie dla towarzystwa — powiada w jednym miejscu — sprzedawać te dobra, których właścicielem towarzystwo“. [6])

Z powyższych praw ustosunkowania ludzi pomiędzy sobą, Staszic wyprowadza główne zasady ustroju politycznego. Ponieważ najwyższa moc i wola znajdują się w narodzie samym, przeto nierozdzielnie do niego należeć one powinny. Prosta większość jednak nie zawsze oznacza wolę większości. Sędziów powinni obierać sami obywatele; bronić kraju powinni także sami obywatele; a nie powierzać tego osobnemu wojsku. „Dla obronienia swoich praw, dla oswobodzenia się od gwałcicielów“ — jedyny sposób „wojna“, czyli — dla dokładniejszego wyrażenia myśli — Staszica — powiedzielibyśmy dzisiaj zbrojne powstanie t. j. użycie swojej mocy przez naród. Wojna bywa wówczas tylko godziwa i sprawiedliwa, jeżeli prawa ludzi broni. “Gwałcicielem praw narodów jest każdy despota. Albowiem gdziekolwiek choć jeden tylko

---

[1]) Str. 208.
[2]) Str. 210.
[3]) Str. 56.
[4]) Str. 56.
[5]) Str. 22.
[6]) Str. 173.

despotyzm istnieje, tam w pogranicznych narodach już z trudnością utrzymują się rzeczypospolite". [1])

Autor rozdziela *prawa społeczne*, prawa fundamentalne, prawa wzajemnych stosunków obywateli pomiędzy sobą, od *praw politycznych*, które przedstawiają stosunek rządu do obywateli. Jest to głęboko pomyślany podział praw. Pierwsze autor nazywa „kontraktem wspołeczności czyli ustawą towarzystwa", drugie — „ustawą rządu czyli prawami politycznemi". Prawa społeczne dzieli znowu na *fundamentalne*, „które oznaczają, gdzie, kiedy i jak się towarzystwo gromadzić będzie; kto i jakim sposobem będzie mógł warunki kontraktu poprawiać, odmieniać i powiększać"; oraz *cywilne*, które „mają w sobie opis własności osobistej, własności ruchomej i własności gruntowej". [2])

Należy jeszcze kilka słów powiedzieć o zapatrywaniu się Staszica na dwie palące wówczas kwestyje: formę rządu i ustanowienie wojska.

Projekt formy rządu politycznego, nakreślony przez Staszica, chociaż podobny do projektu Kołłontaja, nie stoi jednak na równej z nim wysokości. Nie ma w nim ani tego wykończenia, ani tej szerokości poglądu, jakie widzimy w projekcie Kołłontajowskim. Autor *Listów do Małachowskiego* był fizyjokratą; autor *Przestrog*, mimowiednie i jeszcze bardziej mimochcąc, stawał na gruncie kapitalizmu. Obaj wyznawcy zasady równości, oświadczali się jednak za cenzusem wyborczym: „Kołłontaja tym cenzusem była rozległość ziemi posiadanej; u Staszica — kapitał, którego miarą był pieniądz, w formie podatku opłacany. W projekcie Staszica, województwa wybierają liczbę posłów, stosowną do wysokości opłacanego podatku; wyborcami zaś są tylko ci, co składają trzydzieści złotych podatku rocznego. Chcąc zapewnić przewagę większości na sejmikach wojewódzkich, żądał głosowania tajemnego i instrukcyj dla posłów na sejm. Dla zapewnienia przewagi o ile można rzetelnej w sejmie, mniemał, że posłowie, na sejm zgromadzeni, w żadnej innej materyi praw stanowić nie mogą, tylko w tej, w której większa część instrukcyj okaże się". [3]) Słusznie wykazuje, że przyjęta w *Zasadach do poprawy rządu* konieczność jednomyślności w materyjach kardynalnych jest przywrócenie *liberum veto* pod inną tylko formą. „Sejm czyli władza prawodawcza — powiada Staszic — równie jak wola Narodu, będzie w Polszcze nieustanną". [4]) Znaczy to, że sejm może każdej chwili się zebrać. Wybory posłów mają odbywać się co dwa lata.

---

[1]) Str. 20.
[2]) Str. 226.
[3]) Str. 268.
[4]) Str. 271.

Władza wykonawcza zostanie podzieloną na cztery komisyje: skarbową, wojskową, zagranicznych interesów i policyi. Z podziwieniem spostrzegamy, że Staszic nie poszedł za przykładem Kołłontaja i nie uznał potrzeby komisyi edukacyjnej, która była jednym z żywotniejszych objawów życia narodowego i tyle dobrego już zrobiła dla Polski i jej przyszłości. Komisyje — w projekcie Sztaszicowskim — w zupełnej są zależności od sejmu. Przewodniczą w nich ministrowie, wybierani przez sejm wotami sekretnemi. Członkowie komisyj, a więc i ministrowie, nie mają prawa zasiadać w sejmie. W czasie nieobecności sejmu, kontrola nad komisyjami należeć będzie do króla i znajdującej się przy jego boku straży, złożonej z pewnej liczby posłów i senatorów, których sam naród po województwach ma wybierać.

Staszic głosował za sukcesyją tronu, przeciwko elekcyi królów. Nie czynił to jednak z zasady monarchicznej, jeno ze względów praktycznych. „Przez wzgląd na teraźniejsze polityczne związki — powiadam — że jeżeliby się miała zostać wolna królów elekcyja, lepiej Polska uczyni, iż żadnych królów mieć nie będzie. To zaś powiadam tylko w przypadku, gdyby koniecznie miała zostać wolna elekcyja. Ale przydaję to zawsze, iż z dzisiejszych naszego kraju z innemi politycznych związków, wypada najpewniejsza trwałość i całość narodu przy sukcesyi". [1]) Zgadza się zanadto pospiesznie z Sewerynem Rzewuskim, że następstwo tronu jest jednym krokiem do zatracenia wolności"; [2]) mógłby właściwiej powiedzieć: że *może* być jednym krokiem. Zrobiwszy mu jednak powyższe ustępstwo, ciągnie dalej: „Ale elekcyja królów już jest połową drogi do zatracenia Narodu. Pierwszy Naród, potem swobody. Pierwsze życie, potem wygody". Wreszcie Staszic mniemał, na podstawie doświadczenia dziejowego, że „od rządu feudalnego do Rzeczypospolitej porządnej despotyzm jest średnią drogą". [3])

Rewolucyja francuska, której błogosławi, i mówiąc o której dziwi się, że większość Polaków jest jej przeciwną, nie olśniła go jednak jak Turskiego. Widział, że despotyzm w Europie opierał się na ciemnocie ludów i dla tego zanadto był silny, aby go można było odrazu obalić. „Dzisiaj — powiada — utrzymywać się rzeczompospolitym najrozumniej ustanowionym trudno, a rzeczompospolitym źle urządzonym niepodobna. [4])

Co do wojska, które ma wynosić sto tysięcy, i którego najważniejszą część musi stanowić piechota złożona z chłopów i mieszczan, to dla jego utrzymania, koniecznem jest powiększyć znacznie podatki. Wyma-

---

[1]) Str. 279 i 280.

[2]) Str. 280.

[3]) Str. II.

[4]) Str. III.

ga to ze swojej strony także radykalnej reformy społecznej, albowiem „dopokąd sama szlachta mieć będzie najwyższą udzielność, sama wszystkich dóbr ziemskich własność i sama podatki stanowić, rzecz niepodobna aby na siebie włożyła i od siebie wybrała tak wielkie podatki, jakich dzisiaj obrona tak wielkiego kraju wyciąga". [1]) Radzi przytem przeznaczyć na wojsko intratę z dóbr stołowych, potrąciwszy sześć milijonów na pensyją dla króla; z dóbr duchownych, o ile zaoszczędzi się, kiedy pamiętać będziemy, że „prócz plebana i biskupa każdy inny duchowny jest niepotrzebny"; [2]) wreszcie z dóbr maltańskich. Dla powiększenia zaś siły zbrojnej, ponawia dawniejszą swoją radę, ażeby wszystkie starostwa zamienić w milicyją.

Przestrogi, natchnięte gorącą miłością ojczyzny, silnym zapałem dla wolności i postępu, pełne nienawiści ku despotyzmowi i ciemnocie, powoływały potężnie do opamiętania się, zastanowienia, wejścia na drogę pożytecznych i koniecznych odmian dla całości i dobra narodu. Czy głos taki mógł przebrzmieć napróżno i nie pozostawić po sobie żadnego wpływu?! Niedawna przeszłość odpowiadała przecząco. Doniosłe głosy Stanisława Leszczyńskiego, Józefa Wybickiego i pierwszy grzmiący głos Staszica (Uwagi nad życiem Jana Zamojskiego) nie przebrzmiały przecież napróżno. —

Ponieważ wyznaczony dwuletni termin dla sejmu skonfederowanego mijał, postanowiono więc, ażeby nie przerywać pracy prawodawczej, nie rozwiązywać sejmu, lecz uzupełnić go tylko nowym kompletem posłów i odbywać dalej pracę w podwójnej liczbie reprezentantów.

Sejmiki wyborcze, które odbywały się w listopadzie (1790), przekonały, że stronnictwo patryjotyczne zdobyło wpływ ogromny w kraju. W liczbie wybranych nowych posłów patryjoci przeważali. Wszedł do izby także jako poseł inflancki Antoni Trębicki, torując niejako drogę wejścia samego Kołłontaja, z którym był ścisłemi węzłami politycznemi połączony.

Dnia 16 grudnia rozpoczął sejm konfederacyjny na nowo swoje posiedzenia. „Nigdy Warszawa — opowiada Niemcewicz w swoich Pamiętnikach — świetniejszą nie była tłumami ciekawych wypadków, zjeżdżających się zewsząd obywateli; ludność Warszawy ledwie nie połowę powiększyła się". [3]) Ruch umysłowy był ogromny, czemu nader sprzyjała ta okoliczność, że „wszyscy w pismach, zdaniach i mowach najzupełniejszej używali wolności". [4]) Wpływ literacki Niemcewicza w tym

---

[1]) Str. 304.
[2]) Str. 175.
[3]) Str. 112. Pamiętniki czasów moich. Wydanie nowe. Lipsk 1868.
[4]) Tamże.

czasie wzmaga się ogromnie. Bajki jego polityczne przechodziły z ust do ust; wówczas pojawiły się niektóre z najpiękniejszych jego *Śpiewów historycznych* (dumy o Michale Glińskim, o Żółkiewskim i t. d.); wówczas oklaskiwano znakomicie graną przez aktorów jego komedyją: *Powrót posła*, gdzie autor uwydatnił kontrast pomiędzy szlachtą, która o sobie tylko myślała i szlachtą, którą obchodziły dobro i przyszłość ojczyzny, szlachtą która wraz z Podkomorzym mniemała, że „dom zawsze ustępować powinien krajowi". Publiczność hucznie wyrażała swoje zadowolenie Podkomorzemu, kiedy ten doprowadziwszy szczęśliwie do końca ożenienie swego syna, powiadał do sługi, proszącego o pozwolenie ożenienia się także:

„Dzień dzisiejszy jest dla mnie święty i radośny,
Nie chcę, ażeby obchód oznaczył go głośny,
Milej mi będzie, że ci, z których żyjem pracy,
Stwierdzą go szczęściem swojem, poczciwi wieśniacy;
Niech im podległość ze dniem dzisiejszym ustaje,
Ciebie i włość mą całą wolnością nadaję". [1])

Ktoby chciał sądzić o ówczesnym Niemcewiczu z jego *Pamiętników* pisanych w głębokiej starości, ten opaczne o nim wyrobiłby sobie wyobrażenie. Nie miał Julijan wówczas zgryźliwej niechęci do demagogów, przeciwnie rewolucyja francuska napawała go różową nadzieją rozwoju wolności szczęśliwej dla wszystkich narodów. „Nie był on na czele — jak bardzo trafnie zauważał jego biograf — ale był we wnętrzach, w sercu, w czuciach narodu: był typem serdecznego szlachcica polskiego, wzorem prawym patryjotyzmu dla masy narodowej". [2]) Niemcewicz urodzony na Litwie w 1758 r., wychowywał się w korpusie kadeckim, prawdziwej szkole patryjotyzmu; następnie zwiedził Austryję, Włochy, Francyję, Angliję, Holandyję, Niemcy i widział tam wiele dobrego, coby pragnął mieć we własnej ojczyźnie. Domownik Czartoryskich, przyjaciel Ignacego i Stanisława Potockich, przedstawiał on w obozie patryjotycznym łącznik szlachecki pomiędzy arystokracyją postępową i wykluwającą się demokracyją. Wpływ polityczny Niemcewicza wzrastał szczególnie od czasu, jak wespół z Mostowskim i Weyssenhofem zaczął wydawnć *Gazetę Narodową y obcą*. Gazeta ta, znienawidzona przez targowiczan i po dojściu ich do władzy, wnet zakazana, zrobiła rewolucyję w dziennikarstwie polskiem. Zaczęła ona zajmować się nie osobami, ale spra-

[1]) Str. 68. Powrót posła. Komedyja oryginalna w trzech aktach — wierszem Julijana Ursyna Niemcewicza. Wydanie Turowskiego. Sanok 1885. Niemcewicz dedykował tę komedyję Stanisławowi Małachowskiemu.

[2]) Str. 3 i 4. Żywot J. U. Niemcewicza przez X. Adama Czartoryskiego. Berlin — Poznań 1860.

wami publicznemi, wprowadziła artykuły rozumowane, zdawała sprawę z czynności sejmowych, śledziła bacznie za ważniejszemi wypadkami życia publicznego w Europie, a zwłaszcza za rozwojem rewolucyi francuskiej. Kierunek gazety był postępowy i umiarkowany. „Pismo to znalazło łaskę w publiczności i szeroko rozchodziło się“. [1]) Niemcewicz, w kilkadziesiąt lat później w swoim Ursynowie pod Warszawą, z rozrzewnieniem wspominał owe czasy: była to najpiękniejsza chwila w jego życiu.

„Szczęśliwy, kto ów widok wspaniały pamięta,
Gdy od Dniepru do Warty, miłość kraju święta
Do znakomitych odmian, do pamiętnych czynów,
Zgromadziła w obrady dzielnych Polski synów.
Gdy wolni od przesądów, głosem spólnej zgody
Dawali miastom prawa, rolnikom swobody“. [2])
(Dumania Niemcewicza w Ursynowie).

Wróćmy do sejmu. Na sesyi 20 grudnia pokazało się już, że ważna zaszła zmiana w zapatrywaniu się większości na same obrady i na stosunki krajowe. Praw kardynalnych nie podnoszono do znaczenia pierwszorzędnego. Zgodzono się, wbrew stronnictwu staroszlacheckiemu, które chciało stłumić dążność reformacyjną w samem źródle, zająć się rozważaniem po kolei oddzielnych części konstytucyi. Uproszczony i ulepszony regulamin obrad sejmowych przyczynił się znacznie do szybszego ich przebiegu. Cała ustawa o sejmikach, bardzo ważna, bo regulująca życie polityczne u samych podstaw, przeszła stosunkowo w krótkim czasie i 31 marca (1791 roku) uzyskała moc obowiązującą.

Teraz miała przyjść pod obrady ustawa o sejmach, ale za zgodą patryjotów Trębicki na sesyi 28 marca zażądał, aby poprzednio wzięto pod rozwagę sprawę mieszczan; i w tym przedmiocie złożył do laski marszałkowskiej własne wnioski. Trębicki dał się już poznać jako dobry mówca sejmowy w sprawie kurlandzkiej i już wówczas, przypominając, że ucisk ludu spowodował rewolucyą francuską, dodał: „rewolucyą, na której wspomnienie niechaj drżą ci, co nie umieją z swojemi obchodzić się poddanymi“. W przemówieniu 28 marca znowu przypomniał, że „najpotężniejsi świata mocarze zadrżeć musieli przed determinacyją, oświeceniem nad swemi prawami i mocą długo gnębionego ludu“

[1]) Str. 115. Pamiętniki czasów moich — Niemczewicza.

[2]) Nie wiem, czy kto, badając utwory Mickiewicza i rozmaite źródła jego natchnienia, zwrócił uwagę na niewątpliwy — podług mnie — wpływ Niemcewicza na tego poetę. Wpływ to zresztą tak naturalny, że sam przez się musi nasuwać się umysłowi. Są jednak pewne zewnętrzne nawet znamiona, wskazujące na ten wpływ. Przytem wiadomo, że Niemcewicz, niemal wyjątkowo pomiędzy literatami warszawskiemi, z uczuciem ojcowskiem witał pierwsze podloty genijuszu Adama.

i spodziewał się, że sejm nie odrzuci umiarkowanych i słusznych żądań municypalnego stanu polskiego, zwłaszcza że ten stan okazuje powolność i uszanowanie dla rządowej opieki. Pomimo opozycyi staroszlacheckiej, sprawa miast stanęła na porządku dziennym. Wywołała ona upartą walkę. W obronie żądań stanu miejskiego wystąpili posłowie: Niemcewicz, Sołtyk, Gliszczyński, Bronikowski, Zboiński. Przemówienie Niemcewicza na sesyi 2 kwietnia rozgłosiło po pierwszy raz nazwisko tego posła po całej Europie. „W żadnym wolnym i rozsądnie rządzonym kraju — powiadał — zasłudze, cnocie, zdatności nie powinny być zamknięte wrota. Częstokroć ludzie, których my nazywamy bez urodzenia, ratowali, wsławiali ojczyznę swoją. Nikt nie wie, czem był ojciec Waszyngtona, ani kogo Franklin dziadem swym liczył, ale każdy wie i potomność wiedzieć będzie, że Waszyngton i Fraklin oswobodzili Amerykę“. „Rzućcie tylko oczy — ciągnął dalej — na rozrzucone w kraju naszym, nie miasta, ale miast ruiny; na ich upadek, ubóstwo, zaniedbanie wszelkiego przemysłu; gruzy ich wstydliwy i żałośny wystawują widok w oczach przejeżdżającego cudzoziemca: cóż sobie o rządzie i sprawiedliwości naszej pomyśli? I wy, którzy dźwigacie Rzeczpospolitą z niesławy, nikczemności i upadku, zechcecież zostawić w upadku i nikczemności tyle tysięcy mieszkańców, tyle miast, które powinny być źródłem przemysłu i bogactw waszych i kraju ozdobą? Nie, zapewne, wasza sprawiedliwość, wasze światło, a nadewszystko wasza przezorność każą mi się inaczej spodziewać; znacie zapewne potrzebę przywiązania ich do rządu i do świętych praw wolności; niech razem z nami bronią ich. A jeśliby, co niech Bóg odwróci, w nieszczęśliwych, czyli to zewnętrznych napaściach, czyli zamieszaniach krajowych, tyran jaki chciał nas uciskać: niech przywiązani do ojczyzny, rządu i praw, bronią je razem z nami; niech otrzymają wszystko od Rzeczypospolitej, żeby się już niczego od jednej osoby spodziewać nie mogli: ludzie nie mogą być przywiązani do rządu, tylko wtenczas, kiedy rząd szczęśliwemi ich czyni“. [1]) Poparł Trębickiego i Niemcewicza w dniu 5 kwietnia Sołtyk, poseł krakowski, gorącemi słowy i przypomniał szlachcie, że ani Chodkiewicz, ani Zamojski, ani Czarniecki nie wstydzili się zasiadać z mieszczanami na jednej ławie. Zgodziwszy się wreszcie na przyznanie pewnych praw mieszczanom, staroszlacheckie stronnictwo niemal o każde z osobna targowało się. Zwłaszcza dwa posiedzenia sejmowe, w dniu 14 i 18 kwietnia, były bardzo burzliwe. Szło oto, w dniu 14 kwietnia, czy mieszczanie mają mieć głos rozstrzygający (vocem decisivam) czy doradczy. „Temu punktowi (t. j. głosowi rozstrzygającemu“ — pisał król do Bukatego — najżwawiej przeciwili się

[1]) Mowa Niemcewicza znajduje się w dziele Czartoryskiego, dołączona jako annex XII. Str. 270—273.

wszyscy dawnemi przesądami rządzący się; ich zapał przeciwko temu punktowi graduatim zaprowadził ich do sprzeciwiania się i wszystkim inszym prawie pomyślnym dla mieszczan punktom". [1]) Najwięcej rozprawiał jak zwykle Suchorzewski, poseł Kaliski, ale gadając przeciwko głosowi roztrzygającemu, nie spostrzegając się, zaproponował co do innych punktów to samo, co poprzednio ganił w projektach patryjotycznych. Król, który — trzeba przyznać — gorliwie popierał sprawę mieszczan i bardzo zręcznie prowadził w tym kierunku rozprawy, skorzystał z tego bałamuctwa Suchorzewskiego i zalecił jego projekt. Teraz znowu zwolennicy mieszczan omal nie utrudnili porozumienia. Zwłaszcza Wawrzecki, który należał do liczby tych niewielu, co nadali wolność swym włościanom, domagał się koniecznie głosu rozstrzygającego. Król w obawie ażeby porobione już ustępstwa mieszczanom nie potonęły na nowo w zerwaniu obrad nad tym przedmiotem, zrobił słuszną uwagę, że przed trzema jeszcze laty broniono *liberum veto* a teraz potępiono, przeto „spodziewać się można, że nie zadługo i tej decisivy doczekają się mieszczanie". [2])

Na posiedzeniu 18 kwietnia, „rozhowor sejmowy — jak pisze król do Bukatego — był krytyczniejszy jeszcze niżeli d. 14". [3]) Pod obrady przyszedł punkt stanowiący, że do magistratur miejskich mogą być wybierani wszyscy mieszczanie — posesyjonaci bez różnicy powołania i religii. „Tu Dłuski stary — opowiada król — i za nim wszyscy zelanci chcieli wystawić wielkie niebezpieczeństwo dla wiary katolickiej, a pod tym pozorem wywrócić prawie wszystkie zasady de die 14". Król jednak swoją mową zdołał umiarkować przeciwników. „Jużeście słyszeli — rzekł — że w miastach wielkopolskich tak mało jest katolików, że gdybyśmy katolikom tylko — według propozycyi p. Dłuskiego — pozwalać mieli być burmistrzami, prezydentami i wójtami, toby nie było nawet kim zdatnym napełnić te magistratury. A w innych miastach naszych taki zakaz odwróci wszystkich cudzoziemców, już dawno dążących do osiadania u nas, od zamiaru przeniesienia do nas zaludnienia i bogactw, co jednak było objektem waszym w przeszły czwartek".

„Prawo miastom nadane zawierało nierównie mniej swobód, niż projekt deputacyi, niż ich przywileje. Wszelako sprawiło tyle radości we wszystkich mieszkańcach, tyle aprobacyi w całej Europie, na jaką do owego czasu mało który czyn sejmowy zasługiwał". [4]) Uchwalone pra-

---

[1]) Str. 180 i 181. Listy Stanisława Augusta do Bukatego. Pamiętniki z ośmnastego wieku. T. X. Część druga. Poznań 1868.

[2]) Str. 182.

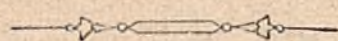
[3]) Str. 183.

[4]) Str. 230. O ustanow. i upadku konst. 3 maja.

wo służyło tylko miastom królewskim. Odzyskiwały one prawie zupełny samorząd. Prawa cywilne mieszczan zbliżono znacznie do praw szlachty; pozwolono im nabywać dobra ziemskie; zniesiono zakaz, przeszkadzający szlachcie zajmować się rzemiosłami i handlem; porobiono liczne ułatwienia mieszczanom do nabywania szlachectwa. Co do praw jednak politycznych, to udział mieszczan jako *stanu* mógł być czynny w władzy wykonawczej, ale w prawodawstwie redukował się niemal do zera. Trzeba wszakże mieć to na względzie, że sejm tracił swoje staro-szlacheckie znaczenie. Nie reprezentował on szlachty jako *stanu*, ale jako większych właścicieli ziemskich. Mając to na uwadze, musimy zgodzić się na wniosek, że różnica między mieszczanami i szlachtą ze względu na sejm „ściągała się tylko do posesyi, nie do osób: bo szlachcic, nie mający posesyi ziemskiej, chociaż wszystkie swobody miał zapewnione nie mógł jednak być czynnym w Rzeczypospolitej; a mieszczanin, nabywający posesyje ziemskie, nie mógł mieć sobie odmówionego szlachectwa i przez to samo stawał się czynnym“.[1]) Zwyciężała — jak już zauważałem — zasada fizyjokratyczna, co było rzeczą naturalną w kraju niemal wyłącznie rolniczym, ale przytem rozpoczynało się także nowe przeobrażenie się społeczne. Ponieważ nie służba rycerska ale władanie ziemią nadawało szlachcie znaczenie polityczne, pochodzenie więc rodowe w pozycyi społecznej zwolna ustępować zaczęło przed majątkiem, bogactwem. Ustrój feudalny przeobrażał się w plutokratyczny. Szlachta w dawnem znaczeniu przestawała istnieć; powstawała nowa szlachta ziemska, która dzięki tylko wstrzymanemu rozwojowi organizmu narodowego, dosyć długo z właściwym sobie charakterem zakonserwowała się i przeważne stanowisko społeczne zajmowała. W rozwoju normalnym wysunęłaby się dosyć prędko druga spółzawodnicząca potęga społeczno-ekonomiczna, otwierająca drogę porządkowi industryjalnemu. Zapowiadało ją upowszechnione bardzo w kraju pragnienie podniesienia przemysłu i rozszerzenia handlu. Rolnictwo nie przynosiło już tych znacznych korzyści co dawniej; z zazdrością spoglądano na zachodnie narody, którym przemysł i handel otwierały źródła bogactwa i zbytku. Pomiędzy szlachtą pojawiają się nie tylko protektorowie przemysłu, jak znakomity Antoni Tyzenhauz, Wincenty Potocki, Ignacy Działyński, Czartoryscy, Sapiehowie, Chreptowicz, Stanisław ks. Poniatowski, ale prawdziwi z usposobienia przemysłowcy, jakim był Lewald Jacek Jezierski. Szlachta garnie się także do interesu bankowego, czego dowodem Prot Potocki i Aleksander ks. Lubomirski. Bierze się nawet do kupiectwa i to ostentacyjnie. „Pierwsi panowie — opowiada Stanisław hr. Małachowski w swoich

[1]) Str. 231. O ustanow. i upadku konstyt. 3 maja.

Pamiętnikach — mieli pod firmą swoją sklepy, a mój stryj (marszałek sejmu czteroletniego) miał sklep sukna i choć raz powinien się był w nim znajdować i łokciem mierzyć“. [1]) A obok tej szlachty mnożą się szybko ludzie nowi bez nazwisk historycznych i tradycyj szlacheckich: tacy Tepperowie, Kapostas, Paschalis, Klug, Dangel, Szulc, Kabryt, Blank, Rafałowicz, Laskiewicz, Frybezowie, Lewiński itd. itd. *(C. d. n.)*



Położenie włościan i własności ziemskiej w XIX wieku w W. Ks. Poznańskiem.

Przez **K. D.**

(Dokończenie).

§. 7.

Położenie włościan właścicieli w prowincji Poznańskiej.

Wszystko wyżej powiedziane o sytuacji włościan w Niemczech *eo ipso* dotyka bezpośrednio Poznańskiego.

Określiwszy położenie włościanina niemieckiego i chcąc następnie scharakteryzować sytuację włościan polskich w Poznańskiem, winniśmy wziąść pod uwagę następujące okoliczności.

Włościaństwo poznańskie zawiera w sobie dwa żywioły: niemiecki i polski, pomiędzy któremi zachodzą dość znaczne różnice, będące następstwem warunków historyczno-społecznych.

Różnice te skonstatowane przez trzy ankiety rządowe, przez Meitzena, Golza, Miaskowskiego etc. stanowią niejako ogólną regułę, która przecięciowo nie dopuszcza wyjątków, nie mówiąc, ma się rozumieć, o indywidualnościach, które jako takie nie mogą być wzięte pod rachubę. Sytuacja więc włościanina polskiego w Poznańskiem, stanie się dla nas zupełnie jasną, jeśli, dotykając punktów najbardziej charakterystycznych, nie będziemy zapominali o różnicy pomiędzy dwoma narodowościami. Zaczniemy od faktu bardzo uderzającego, a mianowicie od upadku gospodarstw sprzężajnych.

Otóż upadek tych gospodarstw objawia się w następujący sposób: 1) w 3 powiatach czysto niemieckich (Babimostskim, Międzyrzeckim, Bydgoskim) w 2 perjodzie od 1860 do 80^{ch} lat sprzężajne gospodarstwa powiększyły się pod względem ich ilości i pod względem ich przestrzeni; w 8 powiatach, gdzie element niemiecki jest przeważającym, (jako to:

[1]) Str. 24. Lwów, 1876.

Międzychodzkim, Kościańskim, Krobskim etc.) nastąpiło zmiejszenie się absolutnej liczby sprzężajnych gospodarstw, lecz przytem powiększenie się przeciętnej przestrzeni gospodarstwa.

W pozostających 15 powiatach z przeważającą polską ludnością nastąpiło obustronne zmniejszenie się, tak ilości, jak przestrzeni. Mówiąc inaczej, powiększenie się własności włościanina niemieckiego odbyło się kosztem upadku sprzężajnych gospodarstw, które się znajdowały w rękach włościanina polskiego. Sprawozdanie o prowincji Poznańskiej, przedstawiane na sesji L.-Oek. Kolegium[1]) powiada: możemy skonstatować, iż w ogóle położenie włościanina niemieckiego w prowincji Poznańskiej jest zadawalniające, gdy tymczasem włościanin polski popada w ruinę.

2) Wedle sprawozdania na sesji Kolegium, własność włościańska jest ciężko zadłużoną. Skonstatowano to przez landrata z powiatu Obornickiego, który prowadził ankietę. Należy tylko uczynić następujące wyróżnienie: w powiatach czysto niemieckich wielka część posiadłości włościańskich nie jest odłużoną, a w pozostającej odłużenie dochodzi co najwyżej $^1/_3$ wartości gruntów (powiaty Międzyrzecki i Międzychodzki); w powiatach polskich wręcz przeciwnie.

W niektórych (np. powiat Szremski) odłużenie dochodzi do $^2/_3$ wartości gruntów, równa się jej lub nawet przechodzi po nad tę wartość powiat Inowrocławski). [2])

Rzecz jasna iż mówimy tu tylko o długach hipotecznych. Obok nich egzystują i osobiste długi, i te powiększają się szczególniej wśród włościan polskich, którzy łatwiej niż niemcy popadają w ręce lichwiarzy— przeważnie żydów; [3])

3) Te same ujemne skutki sukcesji, jakie przejawiają się w całych Niemczech, i o których wyżej mówiliśmy, mają miejsce, rzecz jasna w Poznańskiem. Powtarzać o nich zbyteczna, a wypada zwrócić uwagę na pewną specjalną formę dziedzictwa — dożywotnia renta (Altentheil), która jest we zwyczaju w północno-wschodnich Niemczech, a specjalnie w Poznańskiem.

Będąc wyznaczaną ojcu rodziny, za życia jego, w formie bądź pieniężnej, bądź odrobku i daniny w naturze etc. do których zobowiązują się sukcesorowie, renta taka pomimo bezpośredniego zła pochodzącego od zbytniej parcelacji ziemi przy sukcesjach, pociąga anormalne podwyższenie się cen na parcele włościańskie, prowadzi następnie do wielolicznych procesów sądowych etc. „O ile gospodarstwo włościańskie jest

---

[1]) Patrz str. 153—158, patrz także Bauerliche Zustände. T. III. str. 5.

[2]) Patrz Verhandlungen str. 159; Bauerliche Zustände str. 14.

[3]) Zauważmy, iż żydzi stanowią w całem Cesarstwie 1,4% całej ludności, w Poznańskiem 3,4% (patrz Bauerliche Zustände str. 3.)

stosunkowo i o ile właściciel jego jest bardziej polakiem, o tyle większą jest w stosunku do wartości gruntu renta dożywotnia“ [1])

4) Najbardziej zacofane sposoby uprawy ziemi praktykowane są specjalnie przez włościan polskich. Używają oni przeważnie koni, gdy daleko jest bardziej korzystnem dla interesów rolnictwa utrzymywać woły, krowy i owce. „Wiele gospodarstw polskich popada w ruinę z powodu wyjątkowego używania koni, lecz włościanie polscy zdają się nie rozumieć swych własnych interesów“. (Sprawozdanie na sesji Kolegium str. 167). Analiza całej masy szczegółów zaprowadziłaby nas zbyt daleko, wspomnijmy więc jeszcze o 2 okolicznościach tylko, które wskazują na materjalną niższość włościanina polskiego.

5) Pokarm jego składa się z kartofli, kapusty i kaszy. Chleb mało, a mięso chyba wyjątkowo bywa spożywanem.

6) Włościanie polscy w ogóle mało są skłonni do postępu na drodze gospodarstwa i techniki, nie zważając na całą fatalność swego położenia. Przeciwnie włościanie niemieccy, a szczególniej więksi gospodarze uczynili ostatniemi czasy wielkie postępy w rolnictwie. [2])

§. 8.

Sytuacja robotników rolnych.

Według Meitzena, Goltza i Ankiety z 1875 r. robotnicy rolni dzielą się na trzy następujące kategorje.

1) Wolni najemnicy posiadający lub nie posiadający żadnego gruntu.

Prof. Goltz charakteryzuje ich następującemi słowy: „najmują się oni u włościan-właścicieli i otrzymują za swą pracę, oprócz codziennej płacy w pieniądzach, mieszkanie i zwykle mały kawałek ziemi dla uprawy kartofli“. [3])

2) Czasowi parobcy („Dienstbote“ lub „Gesinde“). Ci najmują się dla pewnej określonej serji robót i otrzymują ordynarję w naturze, oraz płacę tygodniowo, miesięcznie lub rocznie.

3) Związani kontraktem robotnicy obowiązani są na mocy stałego kontraktu do pracowania przez cały rok bez przerwy u pana, od którego pobierają stałą pensję: w pieniądzach i w naturze. Te trzy kategorje różnie są rozprzestrzenione w całych Niemczech.

„Związani stałym kontraktem robotnicy stanowią główny kontyngens rolnych robotników w północnych i północno-wschodnich Niemczech, co

---

[1]) Patrz Bauerliche Zustände. T. III. str. 29.
[2]) Patrz Bauerliche Zustände str. 35.
[3]) Patrz Die Arbeiterfrage przez prof. von der Goltz. Str. 43.

daje się logicznie wytłumaczyć istnieniem licznej klasy włościan bezrolnych, a następnie skoncentrowaniem wielkiej własności, która w takiej formie potrzebuje stałego zapasu robotniczych sił rolnych, nadających się do robót regularnych i długotrwałych. W południowych i południowo-zachodnich Niemczech przeważają „wolni najemnicy", posiadający przytem swe własne kawałki gruntu. Ztąd bezpośrednio wynikają następujące różnice: 1) płace zarobkowe na południu wyższe są, niż na północy 2) forma stosunków względem patronów bardziej sprzyjająca robotnikom na południu niż na północy.

W ogóle byt materjalny robotników lepszym jest na południu, z powodu lepszych warunków klimatologicznych, a następnie dzięki lepszym warunkom społecznym: podział własności rolnej daleko tam jest równomierniejszym, a rozwój przemysłowy nawet nie może być porównanym z drobnym przemysłem w północno-wschodnich prowincjach: w Pomeranji, Poznańskiem etc.

Przechodząc poszczególnie do Poznańskiego, przypomnijmy sobie, iż zajmuje ono drugie miejsce w Prusach pod względem koncentracji ziemi. Ta okoliczność określa też formę przeważającej kategorji robotników rolnych. Ankieta z 1875 r. konstatuje, iż za wyjątkiem trzech powiatów robotnicy związani stałym kontraktem stanowią wielką masę robotników, gdy pozostałe dwie kategorje słabo są reprezentowane. Zrobiwszy tę uwagę, przejdźmy teraz do cyfr.

Dochód roczny robotnika rolnego.

	Związani kontraktem	Wolni najemnicy	
		bez własności	z własnością
Poznańskie	208 talarów	177 talarów	201,5 talarów
przeciętna dla całych Prus	230 „	203 „	240,4 „

Płace dzienne w pieniądzach	
Poznańskie	11 silbergroszy (12,5 sgr. w okręgu Bydgowkim; 9,6 sgr. w okręgu Poznańskim)
przeciętna dla całego cesarstwa	14,4

Płaca na „akord" (od sztuki)	
prow. Poznańska	21,7 silbergroszy dziennie
przeciętna dla całego cesarstwa	24,4 „

Płace dzienne (w porównaniu z ceną 1 funta żyta).	
Poznańskie	15,6 funtów żyta (w perjodzie od 1848—1872)
Poznańskie	15,0 funtów żyta (w perjodzie od 1863—1872)

Ilość godzin dziennej pracy.	
Północne Niemcy	10½ { 12—14g. latem; 7—9g. zimą }
Południowe „	10 g. przeciętnie

Z cyfr powyższych, oraz zawartych w tablicach przez nas nieprzytoczonych możemy wyprowadzić następujące wnioski:

1) Dochód roczny robotników wszystkich 3 kategorji w Poznańskiem niższy jest od przeciętnej w Prusach.

2) Co się tyczy płacy w formie wartości żyta prowincja Poznańska zajmuje 22 miejsce w szeregu 25 okręgów cesarstwa, pomienionych w Ankiecie.

3) Co się tyczy szczególniej okręgu Poznańskiego pod względem płacy dziennej w pieniądzach, poniżej jego znajdują się tylko 4 okręgi w całem cesarstwie, a mianowicie: okręg Lignicki 9,1 sgr.; Gąbiński 8,9 sgr.; Wrocławski 8,6 sgr.; Opolski 7,0. Zauważyć jednak wypada, iż w tych 4 okręgach ludność polska przeważa.[1])

Cyfry przytoczone, aczkolwiek same przez się bardzo wymowne i nadto wystarczające dla dowiedzenia materjalnego upośledzenia rolników narodowości polskiej, winne być uzupełnione i odpowiednio skomentowane. Najsamprzód zauważmy, iż najlepiej płatni pomiędzy wolnymi najemnikami są ci, którzy pracują „na akord“. Zarabiają oni codziennie 21,7 sgr., gdy inni otrzymują tylko 11 sgr. Różnica więc między temi dwiema płacami jest kolosalna, wynosi niemal 100%, gdy tymczasem różnica pomiędzy odpowiedniemi przeciętnemi w Cesarstwie stanowi tylko 70% (14,4 sgr. i 24,4 sgr. patrz str. 359), zkąd można byłoby zrobić fałszywy wniosek, oparty na względnych różnicach pomiędzy cyframi, iż sytuacja robotnika rolnego w Poznańskiem lepsza, niż w Cesarstwie.

Tymczasem „wolni najemnicy“, jak wyżej już było powiedzianem, stanowią w Poznańskiem bardzo nieznaczną stosunkowo część robotników rolnych w ogóle, a pomiędzy tymi wolnymi najemnikami chyba jaka $^1/_4$ tylko pracuje „od sztuki“. Tym sposobem jakaś bardzo drobna cząstka ogółu robotników cieszy się przywilejem zarobku „na akord“.

Następnie, jeśli weźmiemy pod uwagę, że najlepszą sytuacją w całych Niemczech w ogóle cieszą się wolni najemnicy posiadający własność, gdyż roczny ich dochód, wynoszący 240,4 talarów, jest wyższym od innych, to widzimy naodwrót, iż w Poznańskiem najwyższy dochód przypada robotnikom, związanym stałym kontraktem. Ztąd możemy wnosić, jak ciężką musi być dola robotnika rolnego w Poznańskiem, jeśli kategorja kontraktowych robotników, której warunki egzystencji w całem Cesarstwie w ogóle są najbardziej ciężkie, dzięki formie ich stosunków do panów, jeśli ta kategorja ma w Poznańskiem najwyższy dochód roczny!

Parę szczegółów objaśni nam ten pozorny kontrast.

Pozwolimy sobie powołać się na prof. Goltza. Oto co on powiada o położeniu kontraktowych robotników: „byt ich jest całkiem nieszczęśliwym, znajdują się oni w zupełnej zależności od swych panów, mie-

---

[1]) Patrz Kolb. Vergleichende Statistik. 9-te Auflage str. 46—47.

szkają w ich dobrach, w mieszkaniach, które zaledwie podobne są do dobrych stajni, karmią się zaś przeważnie ziemniakami".

Dalej ciągnie on — „najczęściej są oni zadłużeni u swych panów, i sytuacja ich jest o tyle gorszą, iż jest bez wyjścia. Podniesienie ich do lepszego materjalnego i moralnego bytu jest zupełnie niemożliwem, z powodu specjalnej formy kontraktu, jakim przywiązani są do swych panów". [1])

Następnie co się tyczy wolnych najemników, posiadających własność, winniśmy zauważyć, iż w ogóle byt ich jest gorszym w północno-wschodnich, niźli w południowo-zachodnich Niemczech. Posiadając 4, 5, czasem nawet 10 morgów ziemi, zmuszeni oni są zarabiać na życie w przeważnej części drogą najmu. „W razie nieurodzaju ziemniaków, lub w razie nieszczęścia, jak np. choroba jednego z członków rodziny, nędza ich dochodzi do najwyższego stopnia". [2])

W obec takich okoliczności kontrast pozorny znika i uwidocznia się jasno ciężar sytuacji obu kategorji robotników. W takich samych czarnych kolorach, jak Goltz, maluje byt robotników rolnych i R. Lavollée. [3])

W obec takiego stanu rzeczy, uchylamy się od wszelkich komentarzy w formie głośnych frazesów, jesteśmy bowiem przekonani, że najbardziej wymowne i przekonywujące są cyfry zebrane drogą oficjalną, i świadectwa osób urzędowych, jak też oficjalnych przedstawicieli nauki, którzy w każdym razie dzięki panującym w wyższych sferach tendencjom socjalnym skłonniejsi są do optymizmu niż do pesymizmu w kwestjach bytu klas pracujących. Niech więc cyfry te i świadectwa oficjalno-urzędowe mówią same przez się o bycie włościan. My pozwolimy sobie postawić tylko pytanie, za obrębem wszelkich teorji społecznych, za obrębem wszelkich sympatji do tego lub innego programu, ale jako logicznie wynikające ze wszystkiego, co wyżej było orzeczonem, a mianowicie: czy taki stan rzeczy stał się chronicznym, czy też modyfikuje się, i w takim razie, w jakim kierunku, ku lepszemu, czy też ku gorszemu?

Podwyższenie się lub też poniżenie się płac zarobkowych, skombinowane z rozwojem potrzeb, powinno być w takiej kwestji jednym z najlepszych wskazowników.

Otóż Ankieta Niemiecka z 1875 r. utrzymuje, iż podniesienie się płac roboczych w całych Niemczech jest za obrębem wątpliwości; za ostatnie dwudziestopięciolecie miały one podnieść się o 50%, a nawet

---

[1]) Patrz „Die Arbeiterfrage" von der Goltz str. 42 i 119.

[2]) Ibid. str. 44.

[3]) Patrz Les classes ouvrières en Europe. Paris, 1862. T. I. str. 22—40.

o 100%. Jednocześnie podniesienie się cen na artykuły pierwszorzędnych potrzeb miało dojść do 25%, a najwyżej do 53% (jak np. na mięso). Ztąd wypada wniosek Ankiety, iż polepszenie się bytu robotników rolnych powinno być uznane za rzecz pewną. [1])

Kilka jednak okoliczności pozwala powątpiewać o prawdziwości podobnego wniosku, a w pierwszym rzędzie ta okoliczność, iż Ankieta 1875 r. opiera swój wniosek na porównaniu cen, nie biorąc pod uwagę innych warunków bardzo skomplikowanych, przedstawionych przez prof. Miaskowskiego, o których uprzednio wspominaliśmy. Przypuszczając jednak, iż podobna konkluzja posiada wartość prawdy dla przeciętnej z całych Niemiec, w każdym razie nie może ona być zastosowaną do prowincji Poznańskiej, gdyż opierając się na podobnem kryterjum Ankiety, widzimy, iż podniesienie się płac zarobkowych w Poznańskiem równa się podwyższeniu się cen na artykuły pierwszorzędnych potrzeb, a mianowicie:

Podwyższenie się płac zarobkowych (za 25 lat ostatnich).

Okręg { Bydgoski (z wyjątkiem 1 powiatu Chodzieskiego) — 50%
Poznański (z wyjątkiem 1 powiatu Obornickiego) — 25%

Pozostawiając więc tę kwestję w zawieszeniu, aczkolwiek byłoby bardzo pożądanem, aby została zupełnie rozstrzygniętą w sposób pozytywny, podajemy dosłownie konkluzję do jakiej dochodzi Ankieta 1875 r., która to konkluzja reasumuje w sobie całozbiór kwestji dotyczących bytu robotników rolnych:

W całych Niemczech płaca zarobkowa robotnika nie wystarcza prawie nigdzie na utrzymanie jego rodziny. [2])

Co się tyczy Poznańskiego najłatwiej dowieść tego cyframi. Wartość przeciętnej pierwszorzędnych potrzeb robotnika rolnego (mieszkanie, pokarm, odzież etc.) wynosi w całej prowincji Poznańskiej, wedle obliczenia Ankiety sumę 218—220 talarów rocznie.

Otóż cyfra ta jest wyższą od rocznych dochodów wszystkich trzech kategorji robotników rolnych w Poznańskiem, które wynoszą 208—201—177 talarów.

Dodajmy teraz jeszcze parę szczegółów dla scharakteryzowania upośledzonego bytu rolnika polskiego w Poznańskiem, a mianowicie: rozwój stowarzyszeń i stopień oświaty ludowej, które w społeczeństwach cywilizowanych są względną miarą intelektualno-socjalnego rozwoju, a następnie specjalne zjawisko, emigrację do Ameryki, która ze stano-

---

[1]) Die Lage der ländlichen Arbeiter. Berlin 1875 str. 448.
[2]) Ibid, str. 490.

wiska materjalnego bytu, wedle określenia Ankiety stała się „prawdziwie chorobliwym objawem życia społecznego“.

a) Otoż, co się tyczy 1 punktu t. j. rozwoju stowarzyszeń, możemy skonstatować rzecz następującą:

W odpowiedzi na 4 pytania cyrkularza, a mianowicie:

1) kasy pomocy,
2) kasy dla chorych,
3) stowarzyszenia spożywcze,
4) kasy oszczędności.

Ankieta daje następujące odpowiedzi:

Dla okręgu { Bydgowskiego jednozgodnie; „niema“,
Poznańskiego jednozgodnie; „niema“,

za wyjątkiem pow. Średzkiego, gdzie są kasy dla chorych, a w 4 jeszcze powiatach kasy oszczędności;

b) Co się tyczy oświaty ludowej, Ministerjum wojny konstatuje za rok 1881/2, iż największy procent analfabetów pomiędzy rekrutami znajduje się w Poznańskiem; wynosi bowiem 10,95%, gdy przeciętna dla całych Prus stanowi 2,34%; [1])

Wprawdzie w następujących latach ilość analfabetów cokolwiek się zmniejsza, w Poznańskiem jednak pozostaje największy procent.

Procent analfabetów.

Lata	Poznańskie	Przeciętna dla całych Prus
1882/3	9,75%	2,0%
1883/4	8,89%	1,97% [2])

c) Nakoniec co się tyczy emigracji, oto są dwie krańcowe daty z 20 letniego perjodu.

W 1860 r. prow. Poznańska zajmowała 6 miejsce w Prusach:

prow.	Westfalja . . .	2.672	emigrantów do Ameryki
„	Nadreńska . . .	1,779	„ „ „
„	Saska	1,620	„ „ „
„	Pomeranja . .	1,310	„ „ „
„	Szląska	1,126	„ „ „
„	Poznańska . .	1,082 [3])	„ „ „

[1]) Stat. Jahrbuch f. das Deutsche Reich. Berlin 1883 str. 153.
[2]) Stat. Jahrbuch f. des Deutsche Reich. Berlin 1885 str. 165.
[3]) Jahrbuch für die Aemtliche Stat. des Preus. Staates. Berlin 1862 str. 108.

W 1881 roku Poznańskie zajmuje 3 miejsce w Prusach pod względem ilości emigrantów. Na całą ilość 145,679 emigrantów, w 1881 r. wypada na

Pomeranję . . .	26,106	emigrantów
Zachodnie Prusy .	24,072	"
Poznańskie . . .	22,594 [1]	"

Konkluzje.

Studjum nasze daje się zreasumować w następujących 5 wnioskach:

1) W ks. Poznańskie, z punktu rozwoju tak rolnictwa, jak i przemysłu, zajmuje ostatnie lub też przedostatnie miejsce w szeregu prowincji, stanowiących królestwo Pruskie i cesarstwo Niemieckie.

2) Wskutek nierównego podziału ziemi pomiędzy włościan a klasy uprzywilejowane, wskutek olbrzymiej koncentracji wielkiej własności ziemskiej i pod wpływem obecnego socjalno-ekonomicznego ustroju, upadek małej własności włościańskiej w Poznańskiem postępuje coraz więcej.

3) Ten upadek małej własności — stwierdzony przez dokumenty oficjalne, będąc przyśpieszanym z jednej strony przez swobodną aljenację i podzielność ziemi, dozwolone przez prawa agraryjne, a z drugiej przez brak kredytu państwowego dla włościan, pozostawiający otwarte pole dla lichwy—objawia się w specjalnej formie: parcelacji średniej własności włościańskiej [2]) bez polepszenia bytu drobnych właścicieli.

4) Stałem zjawiskiem w ks. Poznańskiem jest przeobrażanie się drobnego właściciela w robotnika rolnego, znajdującego się w warunkach bytu, względnie znacznie cięższych, niż w innych prowincjach Prus, z wyjątkiem Pomeranji.

5) Położenie włościan polskich w Poznańskiem, gorsze i niższe od niemieckich tamże — stwierdzone przez cyfry — objawia się we wszelkich stosunkach materjalnego i moralnego życia.



[1]) St. Jahrbuch für das Deutsche Reich. Berlin 1883 str. 20. W następnych latach wprawdzie emigracja jest słabszą, lecz Poznańskie zawsze zajmuje 3 miejsce w Prusach pod względem ilości emigrantów. W 1883/4 ilość emigrantów z całych Prus = 93622

z Pomeranji . . .	15,412
z Zach. Prus . . .	14,069
z Poznańskiego . .	13,500

(Patrz St. Jahrbuch für das Deutsche Reich. Berlin 1885 str. 22.

[2]) Kategorja posiadaczy 5—10 morgów. (Patrz Tab. Nr. 2 str. 272).

NA DNIE

Studjum społeczno-psychologiczne

przez

Iwana Franko.

(Ciąg dalszy).

VIII.

Nazajutrz aresztanci wstali bardzo rano. Obudził ich kapral krzykiem i przekleństwami. Stebelskiego i Dorożowskiego wysłali wnet do zamiatania kancelarji i kurytarzy, noszenia wody i do innej „domowej“ posługi. Dziad Pańko, Mytro, płaczący chłop wczorajszy i czarnowłosy żydek wyszli zamiatać miasto. W kaźni zostali Andrzej, Bowdur i stary żyd, który zawsze jeszcze leżał z gołą głową na mokrej podłodze, charcząc jak poderznięty. Bowdur również nie wstawał, a myć się ani myślał; napił się tylko wody, wyciągnął gołe nogi błyszczące od puchliny i znów położył się w swoim kącie.

Na dworze tymczasem zaczynało już świtać. Słońce wschodziło na pogodnem niebie, ludzie budzili się do pracy z pokrzepioną nadzieją i energją, z serc płynęły modlitwy o chleb powszedni, o zdrowie i ciche spokojne życie. W kaźni wszystko szło innym trybem. Tu świadomość budziła się tylko dla nowych mąk; to też każdy nowy dzień był witany strasznem przekleństwem.

— Niech ich piorun spali z ich porządkami! — mruczał Bowdur leżąc w swym kącie. — Głodzą człowieka do godziny dziesiątej, nim dadzą tych nędznych kilka grajcarów! — Żeby ich tyle kolek w każdy bok ukłóło, ile ja to od nich tych grajcarów dostałem!

W kaźni nastał już ów szary zmrok zapełniający ją dzień cały, a Andrzej korzystając z wolniejszego miejca, zaczął chodzić po niej, chociaż nogi mu drżały jeszcze ze znużenia i głowa ciężyła okrutnie. Czuł, że jakiś straszny żar pali i brzydził się ledz ponownie na te cuchnące sienniki, obrażające skórę samą zgniłą parą, która z nich wychodziła. Chodził i dumał. — Dlaczegoż to człowiek nie jest maszyną, którąby sam rozum nakręcał jak potrzeba? Po cóż istnieje jeszcze ta druga nieobliczona siła — siła uczucia, która gmatwa i myli prawidłowy ruch rozumowej machiny? Ot i ja naprzykład, gdybym się był rozumem tylko kierował, czyż siedziałbym tutaj dzisiaj? Nie! żyłbym sobie we Lwowie, klepiąc biedę co prawda, jednak żyłbym, pracował, czuł się wolnym

i bezpiecznym... do czasu chociażby. Lecz cóż rwałem się koniecznie do Drohobycza, aby z nią się zobaczyć, chociażby przez chwilkę tylko! No i widziałem ją; czułem w piersi znowu tętno tego uczucia, które tyle łez mi już wycisnęło w zamian za kroplę szczęścia i słodyczy a dzisiaj znowu to samo! A szkoda, że się tak złożyło właśnie teraz, gdy czuję w sobie podwójną siłę do pracy, lecz cóż z tego: ręce związane!

Chodząc po kaźni, Andrzej kilka razy spojrzał na Bowdura i zauważył, że tenże nie spuszczał z niego oka, w którem się dziwne jakieś uczucie malowało. Andrzejowi zimno się robiło pod wrażeniem tych spojrzeń pozbawionych ludzkiego wyrazu i świecących przykrem blaskiem zgniłego próchna. Czuł się tembardziej jeszcze przygnębionym wśród tych ciasnych murów, serce jego biło pełne trwogi, jakby się gwałtem wyrywało na jasny, wolny świat z ohydnej nory zamieszkałej przez upiora wysysającego mu ciepłą krew z piersi. Lecz Andrzej się nie poddawał tym uczuciom — w sercu jego za wiele było miłości do ludzi, a zwłaszcza do tych co są poniżeni i prześladowani, zbyt wiele wiary w dobroć ludzką, aby ni stąd ni zowąd podejrzywać o jakiekolwiek złe zamiary człowieka tak jak on nieszczęśliwego. Mimowolną trwogę swoją starał się wytłumaczyć znużeniem i osłabieniem fizycznem i przezwyciężywszy ją w końcu rzucił się na dziadowe łóżko, aby trochę odpocząć. Lecz za chwilę zerwał się jak oparzony, trzęsąc się cały, chwytał się konwulsyjnie to za pierś, to za głowę i znowu chodził po kaźni. Lecz straszliwe znużenie ostatecznie przemogło: upadł na łóżko i niebawem usnął twardo.

I śni mu się, że jakaś ślizka brudna ręka zwolna rozpina mu ubranie, rozrywa koszulę, a dalej i własną pierś jego — kości się usuwają, a owa ręka tłoczy się w głąb, chłodna, obrzydliwa. Już chce chwycić za serce, ostrożnie się doń dobiera przez sieć żył i arterji, jak ptasznik łowiący wróbla wśród zarośli. Już, już się zbliża, — czuć jej chłód przenikający do głębi, jak lodowate ostrze noża. Lecz serce poczuło już wroga, zabiło silnie, rzuca się gwałtownie na wszystkie strony, jak ptaszyna w klatce, wytęża się, i zrywa aby ujść dłoni napastnika. Lecz tajemnicza ręka, parta niewidomą siłą, posuwa się coraz dalej i dalej, rozwarła szeroko dłoń potężną i już, już ma schwytać trzepocące serce, chwycić je i zdusić! Ostry, nagły ból jak błyskawica przeszył pierś Andrzeja; — zerwał się i stanął na równe nogi:

— Co się zemną dzieje? — zawołał przecierając zaspane oczy. Zdawało mu się, że z piersi jego w tej chwili spadł ogromny ciężar, który go dotąd przygniatał, majaczyło mu się także, że we śnie widział brudną twarz Bowdura nachyloną nad sobą. Lecz to zapewne był sen tylko, gdyż ciężaru na piersiach nie miał żadnego, a Bowdur siedział spokojnie

w swoim kącie z workiem na nogach i nawet na niego nie patrzał, tylko oczy gdzieś w kąt miał zwrócone, jakby liczył plamy na ścianie.

— Zapewne spinka gniotła mi pierś, pomyślał Andrzej, i zdjąwszy ją ułożył się znowu do snu.

Zbudziło go niebawem otwieranie drzwi i hałas wracających z roboty aresztantów. Wnieśli oni ze sobą odrobinę świeżego powietrza, jakby jakąś woń wolnego świata, która rozweseliło cokolwiek kaźnię. Do tego jeszcze czarnowłosy żydek znalazł przy zamiataniu „czworaga“, którym się niezmiernie cieszył a za który sam nie wiedział jakichby specjałów nakupić na solenny obchód tego szczęśliwego dnia. Stebelski i gazda Dorożowski przynieśli sobie po garści niedogarków z różnych cygar, tylko że Dorożowski swoje natychmiast schował, Stebelski zaś podzielił się z innymi więźniami. Te niedogarki były jedyną zapłatą aresztantów zamiatających kancelarję, ale zapłatą bardzo cenną i pożądaną w obecnem ich położeniu.

Wreszcie nadszedł i wachmistrz z pieniędzmi, wyliczył każdemu po 14 centów i posłał dwóch t. j. dziada i Mytra pod eskortą policjanta do miasta po chleb i inne sprawunki. Andrzejowi też dali 14 centów, a on dodał do nich jeszcze własnych dwadzieścia i prosił o kupienie mu chleba i kiełbasy. Gdy Andrzej wyjmował z sakiewki owych 20 centów, nie widział zapewne jak Bowdur śledził jego ruchy, mierzył i ważył okiem objętość sakiewki, z jaką zazdrością i niemal gniewem patrzał na ową dwudziestocentówkę, jakby to ona jemu — Bowdurowi z pod serca była wyjętą.

Andrzej zaczął się znowu przechadzać po kaźni w głębokiej zadumie. Myślał o Hani, o jej pożyciu z mężem, które znał z jej listów, o tem że jest sam na świecie po stracie najdroższej i ukochanej istoty. To znów błyskała mu weselsza myśl — nie, nie jest sam na świecie: Ma towarzyszy, szczerych, serdecznych, gorąco oddanych tej samej myśli, co i on, dopomogą mu w potrzebie, poradzą — ale pomimo to — w tem miejscu myśl urywa się znów na smutnej, bolesnej nucie, dalej nasuwa się znowu inna nie mniej pocieszająca od pierwszej: wszak i ona nie jest dla mnie straconą: kocha go, jak wprzódy, nie stroni, nie zapiera się przeszłości, pisuje jak dawniej i jak dawniej śpieszy ze szczerą radą; on też jest dobrym uczciwym człowiekiem i serdecznym przyjacielem, ale pomimo to wszystko — i znów następuje przerwa w wesołych myślach i Andrzej jakby pod ciężarem wielkiego bólu spuszcza głowę, a z oczu płyną dwie nieśmiałe, drżące łzy, piekące jak ogień i nie przynoszące żadnej ulgi sercu. Ociera je prędko i znów przechadza się po kaźni, starając się zwrócić swe myśli na otaczające go przedmioty.

— Rzecz godna uwagi, — mówił sam do siebie. Póki nie wspominano o jedzeniu, póty i ja nie czułem głodu i żołądek zachowywał się spokojnie, jakkolwiek próżny. A teraz przypomniał sobie i jak stary pies zaczyna burczeć i kurczyć się. Wartoby ten objaw zapisać do psychologicznego dziennika p. t. „wpływ myśli na funkcje organiczne“... Dobrzeby było prowadzić taki dziennik, do któregoby się zapisywało każdy objaw uczucia, każde wybitniejsze wrażenie i to przez czas dłuższy codziennie! Utworzyła by się ciekawa statystyka życia umysłowego! Poznalibyśmy jakiemi wrażeniami i uczuciami człowiek najwięcej żyje, jaki jest powszedni żywot tej „bożej iskry“, która w rzadkich wyjątkowych chwilach tak wysoko się wznosi! — Zajęła go myśl prowadzenia takiego dziennika i rozpatrywał ją ze wszystkich stron, zagłębiając się w szczegóły, jakby miał zamiar niebawem wprowadzić w życie. Trzeba kilku, kilkunastu ludzi, myślał on, ludzi sumiennych, miłujących prawdę, którzyby podzielili między siebie ważniejsze objawy psychicznej działalności, notując przeważnie objawy swego działu, objawy zaś innych działów tylko co ważniejsze. Wymaga to długoletniej wytrwałej pracy, jednak byłoby ciekawem i ważnem dla wiedzy. Dotąd psychologja zajmuje się tylko jakością wrażeń, o ilości zaś ich ma smutne wyobrażenie. A przecież zdaje się, że tu znalazłby się klucz do rozwiązania nie jednej psychologicznej zagadki.

Powoli takie myśli o nauce, o różnych teoretycznych kwestjach — myśli, nie mające nic wspólnego z sercem i uczuciem upoiły Andrzeja. Przypomniał sobie młodych kolegów, zapalonych, szczerze oddanych myśli o wolności i szczęściu ludzi — przypomniał ich dyskusje, ich wspólne usiłowania do rozszerzenia zakresów wiedzy, dziecinną radość z poznania każdej nowej prawdy, i poczuł się tak rzeźkim i wesołym, jak gdyby znów się znalazł między nimi, jakby wieczna ohyda rodzaju ludzkiego — niewola — ani jego, ani nikogo na świecie nie gnębiła! Usta jego blade, lecz szczęśliwe mimowoli szeptały wyrazy pieśni:

Wszak nie zawsze mórz odmęty niepokoją huragany,
I nie każdy statek tonie — burzą skołatany,
Tem się pociesz, bo któż zgadnie — z pośród żeglujących wielu
Tobie może los przeznaczył dopłynąć do celu!

IX.

Brzęknęła kłódka, otwarły się drzwi, — aresztanci wrócili z miasta z zakupioną żywnością. Wszczął się gwar. Dziad Pańko rozdawał chleb, sól, tytoń, cebulę, stosownie do tego kto dał na co pieniądze. Aresztanci usiedli gdzie mogli i zaczęli się posilać, Bowdur, który widocznie był

dziś rozdrażniony przeklinał półgłosem dziada Pańka, że jemu dał taki mały bochenek, a temu czarnowłosemu prosiakowi taki duży.

— Ależ bo jego za 19 krajcarów, a twój za 14, — tłómaczył dziad, nie zważając na przekleństwo Bowdura.

— Bodajbyś czternaście zębów stracił, żebraku! odburknął zamiast odpowiedzi Bowdur i zaczął jak wilk gryść chleb, nie krając go ani łamiąc.

— Macie tu nóż Bowdurze, — powiedział Mitro.

— Na co? Chyba ci głowę nim uciąć! — wrzasnął Bowdur i ugryzł całą gębą kawałek chleba. W rękach jego został w jednej chwili z całego bochenka już tylko mały kawałeczek. I Andrzej jeść począł. Przyniesioną kiełbasę pokrajał na równe części i podzielił między wszystkich, nie wykluczając nikogo. Dorożowski i Bowdur nie podziękowali ani słowem, a Bowdur wziął podany kawałek i nie spojrzawszy nań nawet, rzucił w otwarte usta jak w otchłań.

Patrząc ze strony na Bowdura jedzącego można było pomyśleć, że człowiek ten okropnie jest głodnym, z taką nienasyconą żarłocznością pożerał swój chleb, tak prędko znikały mu w ustach ogromne jego kawałki. Inni jeszcze należycie nie zabrali się do swoich porcji, a Bowdur nie miał już ze swojej ani okruszyny. Przez chwilę spoglądał smutnie na ręce próżne, a na twarzy jego malowała się taka męczarnia głodowa, jakby od kilku dni nic w ustach nie miał. Andrzej popatrzył nań i zląkł się tego zgłodniałego wyrazu i nienasyconej żarłoczności. Zdawało mu się, że Bowdur mógłby teraz zjeść pierwszego lepszego człowieka i że lada chwila gotów jest rzucić się na którego aresztanta i odkąsi mu taki kawałek żywego ciała jak te kawałki chleba co znikły bez śladu w jego ustach.

— Czy on zawsze taki głodny? — pytał Andrzej dziada, ze wstrętem odwracając się od Bowdura.

Dziad popatrzył i równie prędko się odwrócił.

— Co tobie Bowdurze? zapytał. — Szaleństwo cię ogarnia, chcesz ludzi kąsać, czy co? Potem zwracając się do Andrzeja dodał:

— Nie, to dziś dopiero coś się z nim zrobiło.

Zwykle po spożyciu całego bochenka, wypija pół skopca wody i kładzie się na swem miejscu.

— Może to i szaleństwo, nie wiem, odrzekł ponuro Bowdur, — wiem tylko, żem głodny.

— A możeby pan dobrodziej był łaskaw zaczekać, aż służący z restauracji pieczeń przyniosą! — drażnił go dziad.

— Jeść mi się chce, głodny jestem! powtarzał ze ślepym uporem Bowdur.

— No, to jedz, czyżci kto broni? zażartował czarnowłosy żydek:

— Nie bronisz? — zwrócił się do niego Bowdur; wpijając się oczyma w nadpoczęty duży chleb, co leżał przed żydkiem, — nie bronisz, to dobrze. Dawaj! — i wyciągnął obie ręce. Żydek schwycił chleb z przed rąk Bowdurowi.

— Dawaj! -- zawołał Bowdur i oczy jego zabłysły jakimś strasznym ogniem, — dawaj, bo albo ty umrzesz, albo ja!

— Owa, — przedrzeźniał żydek — albo ty, albo ja! Za co ja mam umierać? Ustąp się bez kłótni, bo jeść mi się chce.

— Ale i ja także chcę — odpowiedział łagodniej Bowdur, — dawaj mi tu chleb!

— Czyś się wściekł, czy co? Czego chcesz odemnie? krzyknął żydek.

— Daj chleba, miej litość nademną! błagał płaczliwym głosem Bowdur, lecz wzrok jego zapalał się coraz straszniejszym ogniem.

— Bądź łaskaw Bowdurku, mój miły, odpowiedział również słodko żydek, — i pójdź sobie z bogiem do djabła!

Zamiast odpowiedzi na tę pobożną odprawę Bowdur podniósł wysoko w górę obie pięści i naraz—jakby dwa młoty—spuścił je na głowę żydka. Jak toporem podcięty powalił się chłopiec, a krew buchnęła mu z nosa i ust i oblała chleb, posadzkę i nogi Bowdura. Ale żydek milcząc, zerwał się jak szalony na klęczki i wbił z wściekłością swe paznogcie w nagie, opuchłe nogi Bowdura. Bowdur zaryczał głucho z bolu i począł kopać go nogami, lecz naprózno usiłował się uwolnić. Nie widząc innej rady chwycił jedną ręką swego zapaśnika za włosy, a drugą począł bić w plecy; chłopiec jednak nie puszczał, lecz coraz głębiej wbijał mu ostre paznogcie w ciało, tak że z pod każdego paznogcia krew występować zaczęła. Wówczas Bowdur cofnął się w tył gwałtownym rzutem, pociągnąwszy za sobą chłopca, który padł twarzą na posadzkę. Ale i teraz jeszcze żydek nie jęknął nawet, lecz uchwyciwszy z błyskawiczną szybkością zakrwawiony chleb rozmachnął się i na oślep cisnął nim w brzuch Bowdura tak silnie, że temu aż zaburczało we środku; puścił z rąk czuprynę chłopca i schwycił się oburącz za brzuch, jakby w obawie by mu się nie rozleciał w drobne kawałki jak rozbita beczka. Żydek tymczasem zerwał się na równe nogi. Twarz jego, posiniała z gniewu i bolu, cała była krwią oblana, w oczach świeciły łzy, wargi rozcięte wydęły się, zacisnął zęby, a potem wyprostowawszy się, nie mówiąc słowa, zamachnął się na Bowdura powtórnie ciężkim bochenkiem chleba.

— Rozbrójcie ich, na miłość boską! zawołał trwożnie Andrzej, odwracając wzrok od tego okropnego widoku. Był on bardziej jeszcze

wrażliwy na cudzy ból, niż na własny i dlatego w tej chwili zdawało mu się, że każdy cios godzi w niego, raniąc go boleśnie.

— O nie paniczu! odpowiedział dziad zajadając spokojnie dalej, nie potrzeba! wyjdzie im to na zdrowie, jeżeli się rozruszają trochę... A jak utoczą z siebie chociaż parę miarek nikczemnej krwi, to ulży im się na dobre. Dajcie pokój panie, oni tak jak te psy, pogryzą się, a potem poliżą. A gdyby się kto między nich teraz wmięszał, to gotów jestem pójść o zakład, że z pewnością rzuciliby się na nieproszonego rozjemcę.

Zapaśnicy tymczasem okryci pianą, zlani posoką, stali naprzeciw siebie, oczekując kto pierwszy da hasło do nowego boju. Niedługo czekali — znowu jakby na komendę rzucili się na siebie.

Bowdur uderzył żydka pięścią po ręce i silnym razem wytrącił mu chleb z dłoni, żydek nie zwlekał długo z odpowiedzią, ale oddając pięknem za nadobne poczęstował go kułakiem między oczy. Po tym wstępie, schwycili się obaj za bary i już nie widać było kto kogo bije, drapie, kaleczy, aż póki obaj nie padli na podłogę i puszczając się wzajemnie nie zaryczeli jak zranione zwierzęta: „Gwałtu! gwałtu! ratujcie“!

Na krzyk wbiegł do kaźni kapral z trzepaczką w ręku, a ujrzawszy na ziemi skrwawionych zapaśników, krzyczących i zaperzonych obrócił trzepaczkę „grubszym końcem“ i ująwszy rzemień w rękę, drewnianym trzonkiem począł na oślep smagać niemiłosiernie. Zastukał trzonek o kości, uderzył głucho o nabrzękłe, miękkie jak poduszka ciało, a zapaśnicy ciągle jeszcze nie przestawali krzyczeć, podobni do wieprzów, których niezręczny rzeźnik pchnął niefortunnie nożem pod żebro. Pragnąc się uchronić przed ciężkiemi razami pierzchnęli wreszcie do kątów, ale trzepaczka kaprala i tu ich dosięgła smagając niemiłosiernie po plecach.

— A draby! A złodzieje! A opryszki! syczał zadyszany kapral. Nie dosyć wam jednej biedy, jeszcze się bić będziecie? Poczekajcie gadziny, nauczę ja was!

— To on mię pierwszy zaczepił! wybuchnął żydek z płaczem, Chciał mi chleb wydrzeć! Com ja mu winien?

— A ty, zbóju jakiś! pienił się kapral i posypał się grad razów na Bowdurowe plecy. Bowdur milczał zwinąwszy się w kłębek, aż póki zmordowany kapral nie zaprzestał smagać.

— Ha, poczekaj! ja cię nauczę jak drugim chleb odbierać! Mało ci swego, żarłoku nienasycony? krzyczał kapral cofając się ku drzwiom.

— Mało! — głucho, ponuro odpowiedział Bowdur.

— Co? śmiesz mi jeszcze odpowiadać? wściekał się kapral, grożąc z daleka trzepaczką. Nie będziesz mi milczał wisielcze przeklęty. Czekaj, jeżeli ci za mało to i tego niedostaniesz! Przepościwszy się trochę

nie będziesz tak skorym do bójki. Umyślnie poproszę pana wachmistrza, ażeby ci jutro nie dał ani centa! Będziesz ty mi wtedy dopiero cienko śpiewał, poczekaj! A wy tu — zwrócił się do reszty aresztantów — nie dawajcie mu nic ani powąchać! Niechaj wie, psia krew, co to znaczy bijatyki wyprawiać! A jeżeli znowu zacznie zawołajcie mię natychmiast, a potrafię go uspokoić!

Ponure, głuche milczenie po odejściu kaprala zapanowało w kaźni. Obecnym zdawało się, w tej chwili, że ktoś dusił ich za gardło, i kęs chleba wypadał z ust każdemu. Wszyscy czuli, że scena, która przed nimi się rozegrała, ohydną była i nieludzką.

Tylko Stebelski siedzący nieruchomie na zwykłem swem miejscu, spożywał spokojnie chleb z małemi kawałkami kiełbasy, a gdy więzienie zaległa zupełna cisza, zwrócił się do Andrzeja i wodząc dłonią do koła, wygłosił uroczyście: Homo homini lupus!

Andrzej blady jak śmierć, wstał zwracając się do Bowdura, który leżał skulony w swym kącie, drżący, oblany krwią i siny jak bez, ale widok ten odebrał mu znowu siłę, nie mogąc słowa przemówić — stał tak i patrzał z wyrazem nieopisanego bolu na twarzy.

— A widzisz, trzeba ci było tego? odezwał się dziad Pańko zabierając się znowu do jedzenia.

Bowdur milczał.

— Bowdurze, przemówił wreszcie Andrzej, jeżeliś głodny, czemuś mi nic nie powiedział? ja i tak swego chleba nie zjem. Po co ci było zaczynać bójkę, udzielę ci tyle chleba, ile tylko zechcesz.

Mówiąc to wziął bochenek, ukroił kawałek dla siebie, a resztę podał Bowdurowi.

— Nie potrzebuję twego chleba! zjedz go sam i udław się — wybuchnął Bowdur nie odrywając wzroku od powały i ciskając podany chleb pod łóżko. Andrzej osłupiał ze strachu i zdziwienia i nie rzekłszy słowa usunął się na bok. Mytro tymczasem wlazł pod łóżko, podjął chleb, otarł go, pocałował i położył przed Andrzejem.

— Co ci się stało, tumanie jakiś? zwrócił się groźnie dziad Pańko do Bowdura. Czemu rzucasz chlebem świętym! Kolki by cię sparły, odmieńcze ty jakiś!

— Was wszystkich niech zeprą — odburknął Bowdur, — wszystkich! I mnie także z wami! Powiedziawszy to uderzył z łoskotem pięścią o podłogę, a potem zwinąwszy się w kłębek, legł na dawnem miejscu.

X.

Długo chodził Andrzej po kaźni, zanim zdołał się nieco uspokoić. A kiedy odzyskał pewną równowagę ducha, usiłował ulecić myślą het

daleko, z tego przeklętego miejsca płaczu i niedoli. Przenosił się myślą w inne, piękniejsze światy, gdzie młode a czyste serca wznosiły wysoko w górę sztandar ludzkości, gdzie wykłuwały się potężne falangi, co kiedyś nie długo, miały stanąć do walki w obronie ludzkości, świętych jej praw i odwiecznych potrzeb i pragnień!

Przenosił się dalej myślą tam, gdzie biło jedyne przychylne mu serce kobiece, oblewające się może w tej chwili krwią żalu nad jego nieszczęściem. Więc pocieszał w myśli swą Hanię, zagrzewał towarzyszy, by nie wypuszczali z rąk raz podjętego sztandaru, nie zniżali go ani na chwilę, bo poniżona, zgnieciona i przydeptana ludzkość cierpi w miljonach miljonów! Myślał o obchodzących go osobiście sprawach, o swej miłości i niedoli. A o Bowdurze wraz z jego cierpieniem i gniewnym uporem zdawał się zapominać.

O głowo młoda, zapalona, a samolubna! w świętym zapale nie widzisz może jak samolubne są wszystkie twe myśli i dążności! Czyż sprawa twoja, jakkolwiek ma na celu braterstwo wszechludzkie i szczęście społeczeństw, nie jest ci tak drogą dla tego właśnie, że jest twoją sprawą, że w niej zbiegają się twoje myśli, pragnienia, przekonania i cele, że praca i cierpienie dla niej sprawiają tobie samemu przyjemność? Czyliż istota, którą kochasz, jakkolwiek nie krępujesz jej niczem i pragniesz jej szczęścia w spólnem pożyciu z raz wybranym mężem, czyliż istota ta nie dlatego jest ci tak drogą, że przy niej spędziłeś najpiękniejsze chwile swego życia, że jej pocałunki dotąd jeszcze płoną ci na twarzy, że dotąd jeszcze czujesz dotknięcie pieszczotliwej jej dłoni? O głowo młoda i samolubna! Porzuć na krótką przynajmniej chwilę myśl o sobie samej, przestań pocieszać siebie, a spojrzyj raczej dokoła wzrokiem uważnym, kochającym, a braterskim! Wówczas może spostrzeżesz w pobliżu stokroć nieszczęśliwszych. Ujrzysz biedaków ze wszystkiego odartych, pozbawionych promyka pociechy i nadziei, tej nadziei, którą ty się pocieszać możesz! Spostrzeżesz nieszczęśliwych, co rzuceni na dno społecznej niewoli nie przynieśli z sobą ani myśli jasnej, ani szczęśliwych wspomnień, ani nawet błyszczącego mamidła nadziei! Możeby jedno przyjaźne, a szczere twe słowo zdołało osłodzić ich dolę, uciszyć w sercu walkę straszniejszą niż wszystko, o czem pomyśleć zdołasz, możeby stopiło ciepłem tchnieniem grubą lodową powłokę, zamrażającą przepełnione boleścią i cierpieniem serca tych nieszczęśliwych! Ale cóż, olbrzymia boleść zamyka zwykle serca ludzkie, jak chłód wieczorny stula kielichy kwiatów, z zaciśniętemi ustami mijają się ci nieszczęśliwi w milczeniu, chociaż nieraz kilka słów, lub uścisk ciepłej braterskiej dłoni mógłby ulżyć o połowę ich cierpienia. O ludzie, ludzie! Nie zbójcy,

złodzieje i przestępcy, nie panujący i poddani, nie kaci i katowani, nie sędziowie i podsądni, ale biedni, przybici i przygnębieni ludzie!...

Bowdur tymczasem leżał w swym zatęchłym kącie, z bolącem, na pół już ciałem, z duszą rozbitą, pozbawioną promienia nadziei, pociechy, porady, leżał i myślał, a wspomnienia jak niewyraźne obrazki przesuwały mu się w pamięci.

Nędza od lat najmłodszych, od dzieciństwa... Wzgarda, szturchańce i kije... Żarty i drwiny towarzyszy, którzy stronią od niego nie przyjmując do swego grona... Bękart! znajda! Bowdur!... Ciężka praca u złych, obcych ludzi... Słota, mrozy, pragnienie, zmęczenie — wszystko to dokucza tylko gospodarzowi, najmicie przenigdy!

Najmita żelazny, najmita wytrzyma — wytrzymać musi, wszak za to płacę pobiera!... Cherlawe, słabowite, niedołężne, nędznie płatne, licho odziane... Bez przyjaciela, towarzysza... Nie, był przyjaciel, był towarzysz: w Borysławiu się znalazł przy korbie. Szczery przyjaciel, wierny druh, złote serce! Cha, cha, cha!... Lecz i ten pozazdrościł jedynego szczęścia: zabrał dziewczynę, zabrał, ożenił się!... Och, bo gdyby biednemu nie zawsze wiatr dął w oczy, wówczas... możeby i biedny, nie był biednym!

W takich to urywanych szkicach i obrazkach, przeplatanych szeptanemi półgłosem słowy, przesunęły się w myśli Bowdura pierwsze jego młode lata. Nic w nich nie było pociągającego, nic takiego na czemby mogła dusza spocząć, a pamięć się rozweselić. Myśl atoli nie wstrzymana niczem leci dalej, przewraca karty przeszłości jak człowiek, który włożywszy do książki pieniądze, szuka ich, przewracając kartkę po kartce.

Co zapędziło Bowdura do Borysławia? O tem on nawet wspominać nie chce — straszne to wspomnienie, krew w żyłach mrożące. Rychło jednak niemiłosierna pamięć i to mu przypomnieć musi. Nie namyślając się długo — uciekł, a uciekając raz jeszcze spojrzał na płonące... ale czy wieczornym blaskiem?... chaty i przeklął je. I odtąd przed nikim jeszcze nie zdradził swego pochodzenia, jakkolwiek od chwili owej minęło już lat pięć. Kto wie, może i sam już zapomniał nazwę nieszczęsnej wioski? W Borysławiu odżył trochę. Chociaż ciężko było pracować wśród wyziewów naftowych, zawsze jednak płacono z razu nieźle, nie morzył się człowiek głodem, jak to bywało w służbie. Podobny do głodnego wilka, Bowdur rzucał się na strawę i jadł, jadł bez pamięci, przejadał wszystko co zarobił, chodził na wpół nago, ale jadł, żeby raz przecie czuć sytość w żołądku. Wódki z razu nie pił, aż potem dopiero kiedy *jej* nie stało... rozpił się na dobre!

W Borysławiu, przy korbie Bowdur po raz pierwszy w życiu zaprzyjaźnił się z człowiekiem, który był takim, jak on sierotą. Była to zacna dusza i Bowdur przez cztery lata żył z nim jak z rodzonym bra-

tem. Pracowali razem, mieszkali razem i prawie nigdy nie rozłączali się ze sobą. W potrzebie pomagali sobie wzajemnie nie pytając: a kiedy oddasz? Chociaż prawdę mówiąc Bowdur więcej brał, niżeli dawał, i w tej chwili nawet, jakkolwiek uważa Semena za fałszywego zdrajcę, z lubością atoli wspomina o minionych chwilach przyjaźni i koleżeństwa. Piękne to były czasy — ale do djabła, minęły i nie wrócą. A szkoda, że trwały tak krótko! O dziewczynę dopiero przyjaciele pokłócili się i rozstali. Pokochali obaj biedną robotnicę, sierotę jak oni, wzrosłą we wzgardzie i poniżeniu, przywykłą do milczącego posłuszeństwa i bezgranicznej pokory, do zupełnego wyrzeczenia się i zaparcia własnej woli, własnej myśli nawet. Coś niepojętego stało się wówczas z Bowdurem. Szorstka jego, samolubna, dzika natura nabrała więcej jeszcze dzikości w towarzystwie tej cichej, łagodnej, posłusznej i dobrej istoty. Kochał ją, ale ta jego miłość przygniatała ją srożej jeszcze do ziemi — srożej i bezlitośniej, aniżeli całe jej dotychczasowe życie. Ileż to wymyślań ile razów musiała ścierpieć od niego! Ach, a ile gorących łez wylała! Nigdy jednak Bowdur nie usłyszał z ust jej słowa niechęci. I to go właśnie gniewało. Dopiekał jej nieraz niemiłosiernie, żeby chociaż na chwilę obudzić siłę oporu, ale napróżno, ona tej siły nie posiadała wcale, ale natomiast miała inną siłę łagodną, milczącą, posłuszną siłę miłości. O, bo ona, ciche jagnię, kochała tego okrutnego człowieka! I ta właśnie miłość dodawała jej otuchy do spokojnego znoszenia wszystkich szalonych jego wybryków. Aż w końcu uczuł wstręt i obrzydzenie na widok tej bezgranicznej pokory i uległości i chociaż nie przestawał jej kochać, na swój sposób, mimo to jednak pewnego razu w przystępie gniewu wybił ją i wypędził. Ona poszła — do przyjaciela, pobrali się rychło, już i dziecinę mają...

— I ona przeklęta, jest z nim szczęśliwa! mruczał Bowdur.

Oboje tacy... rozmazani! nie warci mego wspomnienia! Ileż to razy przysięgał sobie, że nie wspomni o nich, a oni tymczasem ciągle mu na myśl przychodzą! Bo wszyscy troje siłą kontrastu z sobą spokrewnieni, dopełniali się nawzajem, bo w sercu jego pod grubą lodową, dotychczas jeszcze tli niewygasła iskra miłości dla tych dwojga ludzi!

Po utracie dziewczyny wszystko się naraz dla niego skończyło, wszystko poszło odmienną koleją. Rozpił się. Och, na szatana! tęgo pił! Bywało przyjdzie rano z roboty — nocami pracował w szybie — i zaraz do szynku.

— Żydzie, dawaj jeść!

— Dobrze.

— Żydzie, dawaj wódki! I pije, póki w kieszeni staje grosza, póki się może utrzymać na nogach. A kiedy wreszcie i nogi odmówią służby,

pada pod ławę i śpi do wieczora, póki go znowu nie zbudzą do roboty. Wygodnie mu z tem, nie potrzebuje wynajmować chaty. Żyd we dnie nie wyrzuci z szynku, chce psiawiara, żeby i na drugi raz zagościć do karczmy, a przytem żydowskie psy gębę obliżą i czysto!

Były to jedyne chwile, o których Bowdur wspominał z jakiemś pijanem zamiłowaniem. Ów okres wiecznego odurzenia, wiecznego zawrotu głowy i szumu dziwnego, wydawał mu się jedynym prawdziwie i zupełnie szczęśliwym okresem w całem życiu. Nic mu wówczas nie brakowało, a zresztą djabli wiedzą — może co i brakowało, ale on dalibóg o niczem nie wiedział. Bez myśli, bez wspomnień z szumem tylko w głowie klekocącym jak młyńskie koło bez ustanku... Turrrr-rr! I wówczas jak spojrzysz do koła — ludzie z chaty, słońce, niebo i świat cały kręcą się w kółko, w kółko, w kółko! Turrrr-rr! A po zatem nie ma nic, ani na ziemi, ani w niebie — nigdzie, nigdzie!

— Ach, gdyby raz jeszcze w życiu, przeżyć w ten sposób choćby dzień jeden, choćby chwilę tylko, Boże! — westchnął Bowdur. Zapomniałby człek o wszystkiem, a tu tymczasem wszystko zaczyna ożywać, wszystko się rusza! Albo coby to było, gdybym tak naprzykład wstał jutro z rana, a tu mi w głowie szumi, turkoce: turrrr! przed oczyma wszystko się mięsza w kółko, w kółko, — widzę, a nie poznaję, słyszę, a nie rozumiem, żyję, sam o tem nie wiedząc, i tak na wieki — na zawsze! Żeby i nie pić i wiecznie być pijanym! i o wszystkiem zapomnieć na zawsze!

— A kiedy nie, to i cóż? Niech lecą wspomnienia, póki lecą. Klin klinem wybijemy, — podlejszem się jeszcze stanie! Wyjścia innego niema... I pocóż go szukać?... Ale też za to na ostatek raz, ale... grrracko! Pięćdziesiąt bez dwóch szóstek... dalibóg warto!... Zresztą i tak nie mam nic do stracenia!...

— A moja młodość?... Ech, do djabła! Same tylko bodiaki, sama pokrzywa! Przekleństwo na nią!

— A oni oboje? Niech ich piorun trzaśnie! Porzucili, zdradzili nie warto wspominać!...

— Lecz może kiedyś jeszcze... byłoby lepiej?... Nie, nie spodziewać mi się! Próżna nadzieja! Przekleństwo na nadzieję!

— Ale on, — może ma ojca, matkę?... To i cóż z tego, — ja ich nigdy nie miałem!

— A może... jaka?... Tfu, do licha! miałżebym na to zważać? A cóż mi do tego? Niech wychodzi za drugiego! A może?...

No cóż jeszcze? Nic więcej! Czysto! w kółko, w kółko, w kółko!... Och jakże boli, jak piecze i ściska! I tu, i tam, i ówdzie, — wskróś po całem ciele!...

Noc już zapadła była dawno — północ. Aresztanci spali jak przywaleni kłodami. Spał i Andrzej i nie słyszał tego urywanego monologu, tych półgłośnych szeptów, nie słyszał i nie wiedział zapewne jak straszne męki cierpiał ten człowiek zdziczały wskutek nędzy, która przyprowadziła go do ostatecznej rozpaczy. A jednak kto wie, gdyby Andrzej słyszał te słowa, gdyby się zastanowił nad tą straszną męczarnią człowieka, może jedno jego słowo potrafiłoby ją ukoić i powstrzymać straszne następstwa. Lecz Andrzej w tej chwili właśnie spał spokojnie obok Mytra i we śnie obejmował swoję niby, a jednak nie swoję Hanię...

(Dokończenie nastąpi.)



TUŁACZ.

Przez

K. SOSNOWSKIEGO.

...Tułacz!... Tułactwo!...

Co za złowrogie odgłosy!... Co za straszne ich dźwięki!

Jak okropna odsłania się przed Tobą perspektywa, gdy po raz pierwszy sięgną one Twego słuchu, gdy przejrzysz się w nich po raz pierwszy, po raz pierwszy poczujesz, że Twoim stać się one mają udziałem!...

Tylko co wyrwany z pośród najbliższego ci otoczenia, zaledwie zdołasz się przystosować da nowych warunków—wyruszaj dalej; zaledwieś zdołał przywiązać się do czego — porzucaj, opuszczaj to wszystko... I znowu gdzieś... do obcej ruszaj ziemi, do obcych, zimnych ci ludzi... i znowu niepewny, czy w chwili, gdy odnajdziesz choć jedną przyjaźną istotę, choć jedną rozumiejącą Cię duszę, warunki znowu jej pozbawić Cię nie zechcą... I znowu... bez końca... jak wieczny wyrzutek... jak wszędzie dla wszystkich wyrodek!...

Można o tułactwie mówić, można go sobie przedstawiać, uprzytomniać; można mu współczuć, ale nigdy — temu kto go nie zaznał — rozumieć!...

Tak! Niezaznawszy go — rozumieć go niepodobna...

Nie... Nigdy...

Tułactwo — jeden tylko tułacz zrozumie.

. . . .

Gdziekolwiekbądź stąpisz — stopą Twą nieprzyjacielskiego dotknąłeś zagonu... Gdziekolwiek spocznie Twe oko — z złowrogiem spotka się

wejrzeniem... A w każdym tonie, jaki o Twe obije się uszy, jedno odróżnisz zawsze: — „Idź dalej ztąd, dalej od nas, wyrodny Ty synu!“...

Niby ustąpił przed Tobą grunt stały, niby ziemia cała stała się jednem trzęsawiskiem, w które zapadasz się, gdziekolwiekbądź stąpisz... A gdy w pośród tej przepaścistej, zapadającej się przestrzeni natrafisz na zabłąkaną jakąś kępkę, nie będzie ona dla Ciebie przytułkiem, nie stanie się ona dla Ciebie zbawienną, w pośród bezbrzeżnej pustyni, oazą, ale — zgubną ponętą...

Wygnany z rodzinnego Twego zacisza, wygnany bezpowrotnie... na zawsze... błądzisz między tymi, co Ci nigdy braćmi nie będą...

Dziś los zabiera Ci ojca, a z nim najstarszego Twego przyjaciela. Jutro -- zabierze Ci matkę, najdroższą Twą, niezamienioną matkę... Zdala od rodzicielskiej Twej strzechy — nie będziesz mógł nawet ich pożegnać, nawet im zamknąć powiek... do grobu ich nawet doprowadzić...

Ty błądzić będziesz dalej...

Wymrą Twe siostry, Twoi wymrą bracia... Nie będziesz mógł nawet sypnąć na ich mogiłę ziemi, coby im z rąk Twych lżejszą była...

Bezludną pustką stanie się dawne Twe przytulisko...

Ty jeden wszystkich przeżyjesz — a ciągle tułać się będziesz po ziemi...

Stracisz przyjaźń. Pochowasz najpotężniejsze uczucie — Jej miłość... Zapomną o Tobie wszyscy... Zapomni... i... Ona...

Ty dalej tułać się będziesz po świecie...

Zdala od najdroższych Tobie mogił, od mogił, w których spoczęło wszystko Twemu najbliższe sercu, — nie będziesz mógł nawet... nad niemi... zapłakać!...

O! jak ciężką dola tułacza!

W tułactwa perspektywie ześrodkowuje się cała ludzka bieda... cała ludzka nędza... cała... ludzka... boleść!...

Młody — a silny, ufny w moc ducha — a mężny oddałeś się cały, całą Twą wolą oddałeś się idei, której użyciowienie uznałeś za niezbędną sprawiedliwych wzajemno-ludzkich stosunków podstawę; rzuciłeś się z wiarą, że wolą Twą a Twem przekonaniem zwalczysz wszystko...

A życie zgięło Cię, zgarbiło swym ciężarem...

Tyś porwał się do walki z całym społecznym układem, myśląc, że nie ma przeszkód, którychby nie zwalczyło Twe męztwo...

Nieszczęsny!...

Tyś nawet walczyć z nim nie mógł, nie tylko go zwyciężyć... Bo walczyć Ci... z głodem trzeba było, walczyć... o kawałek dacha!

Nędzny kęs chleba, nędzne schronienie — nieprzebytemi stały się przeszkodami...

Oto zawady, co Cię złamały...

Ironja losu!...

Tego kto rwał się świat przekształcić — tego zgniotła walka o życie codzienne. Tego kto bój mu zaprzysiągł nieubłagany — tego zgnębiły o chleb zabiegi!

O! bo chleba dla tych mało, co uczciwymi chcą pozostać... bo brak go dla tych, co nie uchylą nigdy swej głowy... bo nie ma go wcale dla otwartych wrogów społecznego bezprawia, dzisiejszej społecznej zbrodni...

Bo nie ma dachu dla tych, co skryć się nie chcą pod wspólnem nierządu schronieniem, pod wspólnem moralnej nędzy przytuliskiem...

. . . .

W tułactwa perspektywie dojrzysz sił Twych młodzieńczych wyczerpanie, zawód Twych nadziei, złamane Twe dążenia, dojrzysz Twe zniedołężnienie... i... własne Twe... zwątpienie!...

Zegnie Cię bieda... Bruzdami zmarszczków nieszczęście poryje dumne Twe czoło... Boleść siwizną przypruszy Twą głowę. Łzy wyschną na oczach, co się głęboko zapadną... Zamrze jęk w pustych Twych piersiach... a skarga jedna nie wyrwie się z ust tych, na których zastygło... wieczne przekleństwo...

Ty tułać się będziesz!... Tułać aż do życia Twego kresu... tułać... do... mogiły...

Gdy spojrzysz na Twą przeszłość — chwilami owładnie Tobą zwątpienie...

Ale chwile zwątpienia — będą tylko chwilami...

Bo życie tułacza, co Cię wyzuje z wszystkiego, odrze Cię z ludzi poważania, obedrze z przyjaźni, wydrze Ci miłość; co rzuci Cię w odmęty cuchnących nędzą moralną społecznych kałuży; co przeciw Tobie podniesie zaciekłą opinję, która Cię splugawi, odmówi Ci nawet uczciwości, obrzuci Cię całem piekłem bezeceństw... co ciśnie w Twe serce całą zbrodnię występnego nieba, które tam, gdzieś... szczęśliwe być może wobec niezmierzonego na ziemi nieszczęścia, szczęśliwe — gdy na ziemi szaleją huragany rozpaczy; — bo życie to tułacze da Ci siłę żelazną, potężnie Cię zahartuje, da Ci niezwyciężoną energję!...

Tylko ten co z ognia wybrnął płomieni, co z walki z niem ocalał — umie go pokonać... Tylko ten co z bezlitośnemi zacięty bój toczył falami, co był ich niewolnikiem i... panem — ten im napewno podoła... Tylko ten co z życiem się borykał, co już... już... zda się przez nie złamany, wydobył się z pod śmiertelnych jego ciosów — tylko ten w walce z niem silnym będzie, zdolnym go opanować i zawładnąć. Tylko ten posiadać

będzie tę ducha potęgę, co umiejętnie skierowana zwycięży... zwycięży wszystko, ku czemu się przechyli!...

Chwile zwątpienia — chwilami tylko będą! — Bo Twe tułactwo otworzy przed tobą wszystkie życia zabytki: odsłoni Twemu sercu całą ludzką nieczułość, Twemu umysłowi niesprawiedliwość, — a wolę Twą poruszy z ostatecznej nawet bezwładności!...

Twe życie tułacza — bezczynnym Ci być nie da.

Jeśli umiesz na świat patrzeć, jeśli nie zanikł ostatni promyk krytycznej Twej myśli — tułactwo roznieci go, roznieci w strugę światła, co oświeci przed Tobą całą moralną ciemnotę...

Jeśli masz odrobinę woli jeszcze, jeśli nie zginął jeszcze ostatni jej ognik — tułactwo rozdmucha go, rozpali w niewyczerpane ognisko energji...

Jeśli czuć umiesz jeszcze, jeśli nie wygasła w Tobie ostatnia wrażliwości iskra — tułactwo rozżarzy z niej w duszy Twej płomień nienawiści, płomień zemsty!...

Tułactwo, co pchnie Cię ku przepaści zwątpienia — wyrwie Cię samo z niego, jeśliś nie przestał być jeszcze człowiekiem...

Całą Twą wiedzą, całe uczucie, całą Twą energję skierujesz ku zemście, zemście strasznej, niepowstrzymanej, bo dziejowej, bo zemście sprawiedliwości...

Tak!...

Całe Twe uczucie oddasz tej walce: — całą Twą miłość i całą... Twą... nienawiść!...

... I Twoją nienawiść!...

Ten tylko bowiem kochać umie, kto umie — nienawidzieć!...

. . . .

Życie Twe będzie jednym ciągłym protestem, będzie nim... też — i śmierć Twoja...

A ziemia nawet z wrogami Cię Twymi nie zbrata...



Sprawozdania literackie.

Podstawy teorji poznania w systemie Logiki Dedukcyjnej i Indukcyjnej J. S. Milla przez Al. Raciborskiego.

Dzieło p. Raciborskiego jest rozprawą habilitacyjną i to tłómaczy nam w części przynajmniej wszystkie jego wady. Zarzuty jakie najlepiej nawet uprzedzony czytelnik może zrobić p. Raciborskiemu, są następujące: przeciążenie dzieła cytatami, które on uważa za ostateczny argument w swych dowodzeniach; ciągłe zbaczanie od przedmiotu w dziedziny wiedzy, które z nim nie mają bezpośredniego związku i bynajmniej nie przyczyniają się do wyjaśnienia rzeczy; a w końcu czcza polemika o wyrazy, których znaczenie nie postarał się należycie wyrozumieć.

Wartość dzieła filozoficznego mierzy się nie ilością cytat różnojęzycznych, nie sumą wiadomostek wypełniających jego stronice; ale gruntowną znajomością przedmiotu, samodzielnością w opracowaniu go i oryginalnością poglądów. Tego rodzaju wymaganiom książka p. Raciborskiego bynajmniej nie czyni zadość.

Wprawdzie nie zbywa jej na pewnej oryginalności — wątpię jednakże, żeby ją mógł kto zaliczyć do zalet. Polega ona na tem, że p. Raciborski do dzieła czysto filozoficznego wprowadził metodę jaką się zwykle posługują teolodzy w swych homiljach. Czynionych Millowi zarzutów dowodzi nie zapomocą rozumowania, które jedynie mogłoby przekonać czytelnika o ich słuszności; ale za pomocą prostego zestawienia zdań licznych filozofów, przeważnie niemieckich, którzy twierdzenia Milla uważają za fałszywe, niezgodne z zadaniami logiki. Tym porządkiem za każdem zdaniem p. Raciborskiego, nieuzasadnianem, czysto apodyktycznem, ciągnie się długi ogon różnych cytat, które na odmienną nutę powtarzają piosenkę, wyśpiewaną przez samego autora. W tym koncercie potępienia dają się słyszeć na przemian zwrotki ogłaszające światu, że logika Milla jest dziełem tendencyjnem, pełnem sofisterji, sprzeczności i potwornych mniemań.

P. Raciborski zabierając się do oceny Logiki Milla, nie zadał sobie pracy zbadać należycie zasady, z których ona występuje i obeznać się chociażby powierzchownie z najnowszym kierunkiem doświadczalnej filozofji, której przedstawicielami są Spencer i Lewes. Wziąwszy sobie za wzór Stanleya Jevons'a, o którego krytyce sam powiada, że nie zawsze jest sprawiedliwą — z góry wydał wyrok potępienia na Milla za to, że ten pokusił się o przerobienie Logiki, oparłszy ją na innych niż dotąd podstawach. Upatrzywszy w tym zamiarze karygodną tendencyjność, wyszukuje w dziele Milla z gorliwością prawdziwie inkwizytorską wszystkie wyrażenia, które nie zgadzają się z ortodoksyjną logiką, i zalicza je do sofistrerji i niekonsekwencji. Mało obchodzi p. Raciborskiego, że to co ze stanowiska logiki konceptualistycznej może się wydawać, jako błąd i sprzeczność, ze stanowiska nominalizmu, którego Mill był wyznawcą, musi być uważanem za wniosek słuszny, za twierdzenie zgodne z przyjętą zasadą. W swych wycieczkach przeciwko Millowi nie ogranicza się na potępieniu jego samego ale swój wyrok rozciąga na całą w ogóle filozofją doświadczalną, jak gdyby nie

wiedział, że oparłszy się na teorji rozwojowej, nie zgadza się z Millem w najważniejszym punkcie, a mianowicie przeczy temu, żeby doświadczenie indywidualne mogło, jak to chce Mill, wystarczyć do wyjaśnienia życia umysłowego i utrzymuje, że podstawą tego życia, a zarazem warunkiem doświadczenia indywidualnego, jest doświadczenie rasy, które drogą dziedziczności przechodzi z rodziców na dzieci.

Jak mało wniknął p. Raciborski w istotę filozofji Milla — najlepiej dowodzi tego fakt, że Mill, który jest znanym całemu światu, jako idealista, trzymający się ściśle zasad Berkeleya, występuje w książce p. Raciborskiego, jako dualista, przyjmujący dwie odrębne substancje — materją i ducha. Ten brak należytego obeznania się z przedmiotem, połączony z chęcią popisu — ujawnia się na każdej niemal stronicy książki p. Raciborskiego, i jest głównem źródłem czczej polemiki, w której chodzi nie o rzecz, ale o wyrazy. Walkę p. Raciborskiego przeciwko Millowi możnaby nazwać nieporozumieniem; ale ponieważ w niej zła wola i tendencyjność zbyt są widoczne — musimy ją uważać za prostą szermierkę, a właściwiej za napaść niczem nie usprawiedliwioną.

Zaufawszy zbytecznie Jevonsowi, który jak sam wyznaje, po dziesięciu latach dopiero przyszedł do przekonania o zgubności nauki Milla — i wystąpił przeciwko niemu z całą namjętnością świeżego wyzwoleńca; uwierzył p. Raciborski, że Mill jest drzewem pochyłem; tymczasem Mill jest i na długo jeszcze pozostanie niebotycznym dębem, na którego wierzchołek ten tylko spiąć się potrafi, kto ma krzepkie mięśnie i głowę dość mocną, wolną od zawrotu. Że krytyka nie jedną jego gałęź potrafi odłamać — nie zaszkodzi mu to bardzo, a w każdym razie nie obali go. Zbijanie zaś kijem liści jest dziecinną tylko zabawką.

Władysław Kozłowski.



***Revolution der Literatur** von Carl Bleibtreu, zweite, vermehrte und verbesserte Auflage. Leipzig 1886.*

Wrodzona ociężałość i flegmatyczny spokój, tak zwany „Gemütsruhe“ sprowadziły piśmiennictwo niemieckie do pewnego rodzaju służalstwa i zależności, na rewolucją zaś — na to gwałtowne, ale jedynie skuteczne wyłamanie się z pod wiekowego niewolnictwa, choćby w samej tylko literaturze, Niemcy nigdy zdobyć się nie mogą.

Natomiast mają oni szczególny dar rozwinięcia i wycieniowania modelu, którego kontury rzuciła zagranica, posuwając się w tem rozwinięciu nierównie systematyczniej, utwierdzając nowe z zewnątrz przyswojone kierunki drobiazgowymi rozbiorami. Ogólne te znamiona cechują obecnie w drugiem wydaniu broszurę p. Bleibtreu, wypisaną na tytule. Jest to dziełko wyświecające z głęboką znajomością rzeczy nowe kierunki literackie w Niemczech i zasługujące mimo niektóre dziwactwa autora na uwagę publiczności polskiej. Dotychczasowa historja literatury niemieckiej nie dała nam dokładnego wyobrażenia o nowych ruchach umysłowych, wstrząsających gwałtownie całym gmachem utartych wyobrażeń. Zajęta ciągłem przeżuwaniem utworów ubóstwianych geniuszów

przeszłości, całym umysłem zwrócona w świat miniony, nie umiała ona dostrzedz prądu nurtującego w społeczeństwie, zbywając nowych pracowników milczeniem lub nieznaczącem wymienieniem nazwisk. Natomiast wyniesiono na szczyt Parnasu pisarzy, którzy naśladując i przedrzeźniając genjalne myśli Szekspira Byrona i Göthego z urojonym legitymizmem, pod sztandarem wielkich imion ukrywają swe mierne zdolności, a co gorzej — starano się prawdziwy talent poniżyć. Ta krzywda musiała wywołać reakcję. Zwolennicy nowego kierunku zaczęli z bezwzględną śmiałością, której oburzenie dodało energji, występować w obronie swoich zasad i uderzając na zatwardziałość konserwatyzmu, tworzyć równocześnie w nowym duchu realistycznym. Usiłowania te złożyły się na rewolucję w dziedzinie literatury, której pierwsze hasło wyszło z Francji. Jeden z wybitniejszych pisarzy Bleibtreu z przeświadczeniem o nieomylności i bezstronności własnych sądów wypowiada walkę na śmierć lub życie całemu „rzemiosłu“ krytycznemu i samodzierżczej brutalności recenzentów niemieckich, demaskuje bożyszcza salonowe, przed któremi wszystko korzy się w niewolniczem służalstwie, a wreszcie kruszy kopję w obronie utalentowanych ofiar młodej beletrystyki naturalistycznej, do której sam kilka poetycznych utworów dorzucił. Czy jednak, zarzucając innym tyle grzechów, sam zupełnie jest wolnym od błędów, to inne pytanie. Chodzi mu o prawdę, o głębsze, oryginalne, niezależne od powagi i interesu ocenienie utworów, ale w zapale swym szlachetnym posuwa czasem oryginalność do dziwactwa, a samodzielność do zaślepienia.

Uderzając na kult bałwochwalczy Göthego, wykazuje autor, że realistyczny rozkwit literatury nie jest dziełem jednego pisarza, choćby tak genialnego jak Zola, ale koniecznością, mocą której „bóstwo piękności wydziedziczone utraciło panowanie“, a w jego miejsce żelazna siła ducha czasu coraz potężniej gniecie świat zestarzały, rozpadający się w zaraniu nowych idei. Bleibtreu przyznaje Zoli, owemu „mistrzowi“ zasługę, że on tę realistyczną doktrynę pierwszy dokładniej poznał i uchwycił, zna atoli dobrze braki i słabostki swego mistrza, szuka więc nowych wzorów realizmu wyższej miary, któryby stapiał w jednę całość naturalizm i romantyzm i wnikając w najgłębsze tajniki duszy ludzkiej, górował wyższymi i szerszymi poglądami ponad trywjalność, z której nie zawsze może wygrzebać się Zola. Swój program streszcza autor w takich wyrazach: „Precz z wszelkiem poetyzowaniem, niemającem wyższych celów społecznych w jakiejkolwiekbądź formie. Precz z wszystkiemi miłostkami bez wyższych dążeń i namiętności. Walka przeciw wielkiemu konwencjonalnemu kłamstwu barbarzyństwa kulturalnego, kwestja socjalna i narodowościowa, stanowiące najstraszniejszą zagadkę wieku, oto wielkie temata ze skarbnicy literatury przyszłości“. Przystępując do zestawienia nowszych literackich produktów niemieckich, podzielił autor swoję pracę na kilka działów rzeczowych p. t. „Poezja i duch czasu“, „Realizm“, „Młode Niemcy“, „Poeta niemiecki w obec publiczności“ i t. d.

W rozwoju swych poglądów na „romans historyczny“, redukuje Bleibtreu wysławiane małomieszczańskie obrazki Freitaga do skromnych rozmiarów, wynosząc natomiast wspaniałe kartony historyczne Wilibalda Alexis'a, którego stawia na równi z Walter-Scottem. Ciekawym jest sąd niemieckich realistów o egipskich powieściach Ebersa, tłómaczonych na wszystkie niemal języki. „Gdybyśmy, powiada Hirsch, cytowany przez Bleibtreu'a, egipskie powieści Ebersa w nowsze czasy przenieśli i tych herbaciano-salonowych Egipcjan w nowożytne kostiumy przebrali, przekonalibyśmy się jak nieprawdziwą, sztuczną i ubogą w siły żywo-

tne jest ta pseudo-poezja w całej swej istocie. Z romansów największych, a przynajmniej poczytywanych za największe, obyczajowych powieściopisarzy niemieckich Heysego i Spielhagena utworzył Bleibtreu nowy zupełnie dział literacki „Epiki erotycznej". Pod tą rubryką zbiera on utwory powieściowe, w których uczucia płciowe są jedynem ogniwem akcji, jedynym motywem życia i sztuki. O Heysem mówi autor, że z chłodnym rozmysłem unosi się ponad swoje temata zamiast się nimi porywać, że brak mu wszelkiej głębokości uczuć i że wszystko u niego tak jest gładkie i powierzchowne jak glansowane jego rękawiczki.

W najciekawszym swoim artykule o realizmie autor z góry traktuje nowo wylęgłego potomka naturalizmu mieniąc go „chorobliwem zaślepieniem niedojrzałych młodzieńców", którzy mniemają, że istota realizmu leży w określeniu sytuacji cynicznych i prostackich. Jako głównych przedstawicieli realizmu w t. z. malarstwie rodzajowem uważa Bleibtreu Heilberg'a i Conrad'a. To są, zdaniem jego, prawdziwi znawcy kolorytu i tonu lokalnego, wnikający z zamiłowaniem w głąb swego przedmiotu; brakuje im tylko tej plastyki w modelowaniu, bez której prawda choćby największa staje się trywjalną. Właściwy realizm — powiada autor — nie polega na samej tylko suchej fotografji natury, lecz na ożywieniu jej duchem idealnej rzeczywistości.

„Dopiero z tej mieszaniny materjalistycznej przedmiotowości i idealnej, opartej na grze fantazji, romantyczności — wytwarza się poezja współczesna". Z tego stanowiska — okazującego obok przejęcia się prawdziwym realizmem i głębsze estetyczne uczucie — przedstawia się nam Max Kretzer tylekrotnie wyszydzany przez filistrów „socjalista par excellence".

Mimo ciężkości stylu i nawet błędnej gramatyki, zdołał on z taką siłą tragiki i nieustraszoną potęgą namiętności wniknąć we wszystkie arterje ducha czasu, że rewolucyjny krytyk zalicza go bez wahania w poczet największych pisarzy nowożytnych. Konstatując wreszcie stanowczy upadek smutnej sławy u nas nowellisty, Sacher-Masocha, który w pierwszych swoich kreacjach złożył świetne dowody realnego pojmowania sztuki, prowadzi nas Bleibtreu od powieściopisarzy do grona najnowszych liryków niemieckich, którzy pod godłem „młode Niemcy" wywiesili sztandar pesymistycznego zniechęcenia, lub przeciwnie jakiejś nieokreślonej tęsknoty, połączonej niekiedy z prawdziwą siłą liryczną. Prym między nimi trzymają bracia Hardt, Conradi i Arent, których twórczość liryczna zamyka się w zbiorze p. t. Quartet. P. Bleibtreu zniewolonym się czuje przyznać, że dążenie tej „młodej generacji" obdarzonej talentem poetyckim, połączonym z pewną krzykliwością i wiarą w własną nietykalność, popchnęła literaturę niemiecką, uśpioną dotąd na laurach swoich genjuszów, do nowego i w doniosłe skutki obfitującego życia.

Na tem kończymy pobieżne to sprawozdanie z ostatniego ruchu umysłowego w Niemczech, będącego słabem tylko odbiciem przewrotu, dokonanego we Francji, a mającego wiele wspólnych, a przynajmniej analogicznych znamion z naszą literaturą lat ostatnich.

M. Braude.



Kronika spółczesna.

Echa galicyjskie.

Kwiecień.

Nie wiele brakowało, ażeby szlachta galicyjska spożyła w tym roku krwawe „święcone“... Los, na szczęście, oszczędził jej tego przysmaku, ale przedsmak takiej biesiady socjalnej dał dobrze poznać.

„Z szlachtą polską polski lud!“ — śpiewał wieszcz-arystokrata, goniąc myślą utopijne ideały. To samo hasło, ale niby „cud“ spełniony, głosi prasa zachowawcza, całą winę poruszenia między chłopstwem zachodnio-galicyjskiem zwalając na czynniki zewnętrzne i uboczne, a jądro złego starannie zakrywając nie tylko przed obcymi, ale i przed sobą.

Ha, trudno! Widocznie to leży w interesie panów konserwatystów — niech sobie tedy stoją, kiedy stać chcą, niech śpią, skoro im sen tak miły, niech rozkładają się i niszczeją własnowolnie w marazmie i kwietyzmie, skoro im już taki los przypadł! Niech zakrywają oczy na wszystko, co się wokół nich dzieje — niechaj tumanią dalej sami siebie, że wszystko jest dobrze i lepiej być nie może, a jeżeli się źle dzieje, to winna temu... prasa wolnomyślna!...

My sądzimy odmiennie. Powracamy tedy znowu w dzisiejszej kronice do smutnej sprawy rozruchów chłopskich w zachodniej części Galicji, jakkolwiek już w poprzednich „Echach“ oświetliliśmy ją z naszego stanowiska. Tymczasem bowiem rzecz ta rozwinęła się i stała tak aktualną, że wymaga szerszego omówienia i rozbioru. Znaczna też część prasy naszej, z tych nawet organów niektóre, co to usiłowały zrazu nakryć całą sprawę czapeczką niewidzialności, rozbrzmiewają dziś skargami na „zło“, wybuchu jego przedziwne wykazując powody i dziwniejsze jeszcze do zażegnania jego podając rady.

A był już czas wielki do wejścia w siebie i zastanowienia się nad tem, dokąd prowadzi polityka uspakajania i zakrywania ran społecznych, zamiast radykalnego ich leczenia. Okazało się bowiem, że wieści o zamierzonych rozruchach chłopskich nie były wcale przesadzone, skoro do dwustu chłopów aresztować musiano, a jak nam wiadomo od interesowanych — wiele osób, co surdut miało na grzbiecie, uciekało na święta wielkanocne z zagrożonych okolic do miast, gdzie pod osłoną żandarmerji i wojska żywot zdawał się być bezpieczniejszym.

Nie da się więc zaprzeczyć, że zanosiło się na ruch ludowy w znacznej części zachodniej Galicji, a mianowicie w powiatach: tarnowskim, pilzneńskim, dąbrowskim, bocheńskim, jasielskim, gorlickim i krośnieńskim, a podobno jeszcze i w kilku sąsiednich okręgach. Dziwne - bo między chłopami krążyły wieści, które z ust do ust podawane, wyradzały się w najpotworniejsze baśni. Mówiono tedy o końcu świata, czego powodem było rozpowszechnienie niedorzecznych „proroctw“ Nostradamusa. Rozprawiano też wiele w niektórych stronach o „młodym cesarzu“ (arcyks. Rudolfie), który rzekomo przebrany w siermięgę, chodził po chatach i wywiadywać się miał o doli wieśniaczej a rozpanoszeniu się szlachty i żydów. Na ucho wreszcie podawano sobie wiadomość, że „panowie“ zrobią powstanie, a walkę o odzyskanie niepodległości zainaugurują

wyrżnięciem chłopów, mszcząc się tym sposobem za rok 1846... Przeważna część aresztowań miała właśnie za powód rozpowszechnianie tego rodzaju baśni.

Wiele wreszcie złego nabroiło także zbieranie podpisów na petycję ks. Chotkowskiego, domagającą się — mimo świeżo obostrzonych przepisów — jeszcze ściślejszego święcenia niedzieli. Podobno bowiem (prawdopodobnie) żydzi, którym dalsze obostrzenie ustawy byłoby nie na rękę, szepnęli chłopom, że panowie zanoszą prośbę do cesarza o przywrócenie pańszczyzny...

Skutek tych wieści był taki, że chłopi zaczęli się gromadzić po chatach i karczmach, i naradzać nad środkami obrony przeciwko panom.

„Ratuj, sprzyjający rządzie!" — zawołała natenczas przerażona szlachta. I rząd pośpieszył z pomocą. Żandarmerję puszczono w niebywały ruch i sprowadzono wojsko, władze zaś sądowe i administracyjne zarządziły śledztwo, którego rezultatem były aresztowania. Szlachta odetchnęła wreszcie i bodaj drżącym głosem zaśpiewać mogła „Alleluja"!...

I skąd się wzięły te wszystkie baśni o powstańcach? — pytali szlachcice polscy, rewidując skrupulatnie kieszenie swego sumienia politycznego, w których najczystszy lojalizm wyłączną obrał sobie siedzibę. I nieznaleźli żadnej odpowiedzi, a wszystko, co w jej imieniu odpowiedzieli reprezentanci jej i obrońcy, dobre jest do zamydlenia oczu, ale nie do wyjaśnienia sprawy i rozpoznania rany, której dyagnoza nie przedstawia zresztą żadnych trudności.

Co do nas, to obojętnem nam jest zupełnie, kto i jakie bajki opowiadał ludowi — nas w tej całej sprawie zastanawia jedynie i przedewszystkiem fakt, fakt smutny, że opowiadania „agitatorów" znalazły w ogóle posłuch u ludu. Zaiste, smutnem jest nasze położenie, jeżeli chłop polski kosą i cepami odgraża się przeciwko domniemanym szermierzom niepodległości, przeciwko „Polakom", chociaż sam z pewnością ma poczucie swej odrębności narodowej. Gdybyż to na Rusi się działo, na Litwie, na Szląsku wreszcie zniemczałym — ależ w Galicji, gdzie szerzenie polskiej idei narodowej nie jest przecież wzbronionem!...

Czterdzieści tedy lat swobody społecznej włościan, dwadzieścia pięć życia konstytucyjnego, dwadzieścia wreszcie lat autonomicznego żywota Galicji — cały ten okres czasu jakby nie istniał dla rozwoju narodowego austrjackiej części Polski.

Tak przedstawia się niby-to spełniony, czy tam spełniający się „cud" Krasińskiego!...

I cóż wy na to panowie krakowscy, cóż ty powiadasz trzęsąca krajem, faktycznie rządząca i panująca kliko stańczykowska? A może wy jeszcze i dziś nie widzicie, dokąd was — z wami, niestety, i nas wszystkich — prowadzi polityka wasza i gospodarka? Możeście wreszcie już tak nisko upadli, że nie czujecie całego ogromu upokorzenia, wzywając na pomoc żandarma przeciw „bratu" w siermiędze?...

Chyba nie! Gdzieżeście tedy byli, coście robili przez te dwadzieścia lat, odkąd autonomja spoczęła w waszem ręku? Dzisiaj jako niepotrzebny rupieć i „potargany sztandar", złożyliście już do lamusu zapomnienia swą nazwę, ale dawnoż to, jak zwaliście się z emfazą „stronnictwem reformy"? Gdzież są sławione owoce owych zapowiadanych reform, które mieściły się w waszym programie? Oto i dziś stara, jednolita niegdyś gromada słowiańska dzieli się u nas na „gminę" i „obszar dworski", boć szlachcic polski nie może przecież podlegać jurysdykcji chłopskiego wójta. I jakiż skutek tego? Owo ten, że chłopi

uważają jeszcze ciągle „panów“ za „inszy naród“, któremu chętnie dają nazwę „Polaków“ dla odróżnienia od siebie — „cesarskich dzieci“... Nie wszędzie jest tak źle, niewątpliwie — nie wszędzie tak smutno i rozpacznie, ale choćby tylko jeden powiat był taki, gorycz nasza byłaby dostatecznie uzasadnioną.

Stan faktyczny mamy dalej taki, że szlachcic jest po dziś dzień szynkarzem na wsi i w interesie jego leży, ażeby wyszynk wódki był jaknajobfitszym. Wszelkie tedy tyrady przeciwko nadmiernemu używaniu napojów obijają się, jak o mur, zarówno o chłopa, jak i szlachcica, a ustawa przeciwko pijaństwu ma wartość istotną o tyle, o ile bywa wykonywaną. No, a my wiemy, jak to bywa z wykonywaniem ustaw po wsiach!...

Stosunki nasze są wreszcie na polu szkolnictwa takie, że połowa gmin w kraju nie posiada jeszcze szkółek elementarnych, a większa część ludności nie umie ani czytać, ani pisać! Stan umysłowy włościan galicyjskich jest tak notorycznie opłakany, a skargi na ten temat tak już spowszedniały, że kładziemy czemprędzej kropkę pod tą smutną uwagą.

Nie sądzimy oczywiście, ażeby w tych niedostatkach leżało źródło wszelkiego złego. My je widzimy jeszcze gdzieindziej, a między innemi w odjęciu włościaństwu prawa decydowania o sobie, w usunięciu ich niemal zupełnem od życia publicznego, a wciąganiu w grę interesów politycznych wtedy tylko, gdy to komuś potrzebne.

Pokrzywdzenie chłopów w ordynacji wyborczej, tłómaczy się przynajmniej jakimś systematem, którym zresztą objęty jest nie tylko nasz kraj, ale cała monarchja. Nieporównanie gorszem jest w skutkach swoich ograniczanie włościanina nawet na tym wąskim pasku samodzielności politycznej, jaki mu wyznacza ustawa. Wola chłopa nic nie znaczy. Przy wyborach wolno mu jeszcze co prawda głosować, ale na kogo — o tem decydują komitety powiatowe, rzekomo przez lud wybierane, i komitet centralny, a w dalszym ciągu akcji presja najrozmaitszych, a najmniej powołanych czynników. Chłop albo istotny wybraniec włościan posłem — czyż można do tego dopuścić?...

Lud zresztą stoi na drugim planie tam, gdzie sam o sobie myśleć i sądzić powinien, nie tylko w instytucjach politycznych, ale nawet czysto ekonomicznych i społecznych, jak o tem świadczy dowodnie taki np. statut Towarzystwa Kółek rolniczych, o którym rozpisaliśmy się szerzej w jednym z poprzednich zeszytów naszego pisma. Na śmiech samym chłopom i podziw całemu światu „panowie ze Lwowa“ radzą nad tem, co wieśniakowi dolega i jak mu pomagać trzeba!...

I w tem właśnie leży największe zło, to niewątpliwie jest jednym z najgłówniejszych powodów wypaczenia naszych stosunków społecznych, że po dziś dzień decyduje o ludzie nie on sam, ale kto inny — bez niego. Zachłanna na wszystko, a rej wodząca obecnie w kraju partja konserwatywna, mając silne oparcie w rządzie i duchowieństwie, w szlachcie — z natury rzeczy nie może pożądać tego, aby lud zabierał głos samodzielnie. Rozporządzając też wszelkimi środkami, umiała ona zawsze postarać się o to, aby istotna wola ludu nie znalazła nigdy rzetelnego wyrazu w osobie nienarzuconego reprezentanta.

Tym — to sposobem nie zdołała się u nas wytworzyć dotychczas partja ludowa — chociażby taka, jaką posiadają Rusini lub jaka pod rozmaitemi postaciami i nazwami wyłania się z pośród mas ludowych w niemieckich prowincjach Austrji. W tem - to właśnie ogarnięciu przez żywioły wsteczne wszystkich organów życia publicznego, w tem usuwaniu na drugi plan ludu na każdym

kroku i w każdej dziedzinie, w usunięciu go od wszelkiego działania a utrzymywaniu w bierności i zależności — w tem ograniczeniu go do ciasnego deptaka między chatą, kościołem a karczmą upatrujemy zło największe, jakie przygniata ciemne i ekonomicznie biedne masy naszego chłopstwa.

Na takiem tle każdy, jakkolwielbądź ponury obraz staje się wyrazistym i zrozumiałym — my też pobudek zamierzonych, na szczęście, niedoszłych do skutku rozruchów na Mazurach nie szukamy gdzieindziej...

Naturalna reakcja przeciwko takiemu porządkowi rzeczy zaczyna się już rodzić. Negatywna nieufność chłopów do panów przemienia się zwolna w pozytywną dążność do samodzielności społeczno-politycznej, czego pocieszający dowód złożyło nam kilka ostatnich wyborów do wiedeńskiej Rady państwa z tych właśnie okręgów, w których istnieje największy rozdział między dworem a gminą, t. j. na Mazurach. Mamy na myśli wybór chłopa Orzechowskiego przeciwko hr. Stadnickiemu i ponowne oddanie mandatu szczeremu przyjacielowi ludu wiejskiego, ks. Kopycińskiemu, który pod naciskiem szykan „hierarchji“ kategorycznie oświadczył, że nie kandyduje, a mimo to wybrany zosłał znaczną większością głosów nieprzymuszonej woli ludu i mandat poselski przyjął ostatecznie.

Analogiczny, choć na gruncie miejskim wypadek przedstawia ostatni wybór posła do Rady państwa z miasta Krakowa, gdzie jedynie skutkiem niesłychanej presji sfer najwpływowszych zdołał odnieść słabe zresztą wycięztwo kandydat stańczykowski i to — niewyraźny...

Są to jednak wszystko tylko błyski zaledwie reakcji przeciwko reakcjonarjuszom społeczno-politycznym, na całym zaś obszarze życia publicznego stan rzeczy przedstawia się w barwach nader smutnych. Mamyż jednak ręce opuszczać? Nie, stokroć nie! „Może człowiek, żyjący na ziemi, zwątpić czasem, ale przeklęty niech będzie, kto sieje zwątpiałość w sercach ludzkich“! Pocóż nam zresztą siać to ziarno niezdrowe, skoro my sami pełni ufności jesteśmy w przyszłość, skoro wierzymy, że przyjdzie czas, kiedy nie „lud ze szlachtą“, jak chciał Krasiński, ani szlachtę z ludem mieć będziem, ale jeden, na żadne kurje społeczne nie podzielony naród polski! Mogłożby być inaczej? Mogłażby powszechna zasada dziejów ludzkich zrobić dla nas wrogi wyjątek?...

Trzeba się tylko jąć pracy nad ludem, pracy szczerej i serdecznej, której jedyną pobudką i jedynym celem ma być interes najliczniejszej warstwy społecznej — ludu, nie podmulony żadnymi ubocznymi, egoistycznymi interesami klas, czy kast uprzywilejowanych. I cóż nas wreszcie te interesy obchodzić mogą, skoro w zasadzie nie uznajemy ich, a w smutnej rzeczywistości liczymy się z nimi o tyle tylko, o ile one służyć są zdolne sprawie ogólno-narodowej...

Wszak chyba znajdą się ludzie, co zechcą oddać się tej pracy nad uspołecznieniem, nad wykształceniem i materjalnem podniesieniem ludu? Są to jednostki nieliczne wprawdzie i rozrzucone po rozmaitych szczeblach drabiny społecznej, ale jest - to bądź co bądź zastęp, któremu potrzeba tylko organizacji, a ginące marnie, jednostkowe usiłowania wydadzą wtedy plon obfity. W zwartym szyku dojdziemy rychlej do celu, szybciej uporamy się z przeszkodami, jakie niechętni stawiać nam mogą na drodze naszej...

Do dzieła tedy a raźno!...

Rewera.



Kronika Szląska.

Rozpoczynając niniejszem kronikę szląską, niech nam będzie wolno nasamprzód podać granice, obejmujące ludność polską naszej prowincji. Ludność ta za czasów pierwszych Piastowiczów rozlana po całym Szląsku, została w ciągu wieków wypartą prawie zupełnie na prawy brzeg Odry; po lewej zaś stronie ciągnie się tylko wąskim, nadbrzeżnym pasem. Wyrażając się szczegółowiej, sięga żywioł polski na północ do południowych kresów powiatu brzeskiego (Brieg), do wschodnich części powiatów namysłowskiego i olesnickiego (Namslau-Oels) i niektórych na południo-wschód zwróconych okolic powiatu sycowskiego (Poln. Wartenberg) i milickiego. Odtąd zaś aż do przeciwległych powiatów pszczyńskiego (Pless) i raciborskiego inclus. rozlewa się falą szeroką na cały prawie Górny Szląsk czyli obwód rejencyjny opolski. Po lewym zaś brzegu polskimi są wschodnie kresy powiatu hlubczyckiego, w przeważnej części zamieszkałego przez czecho-morawian i niemców; cały powiat kozielski i wschodnie części powiatu niemodlińskiego (Falkenberg) i prudnickiego (Neustadt). Mówiąc o ludności polskiej, wynoszącej około miliona, mamy na myśli ludność wiejską, gdyż miasta z małymi wyjątkami zapełnione są przez Niemców i żydów; proletarjat rzemieślniczy zaś rekrutujący się w przeważnej części z ludności wiejskiej, a osiedlający się po miastach, prawie zupełnie jest zniemczony.

Na tym więc terenie rozegrywa się walka plemienna, która niewiadomo jak się jeszcze skończy, choć zdawać by się mogło, że zwycięstwo przechyli się niechybnie na stronę kulturników. Posiadają oni bowiem bezwarunkowo broń silniejszą od nas: materjalną — kapitał i moralną — inteligencję. Kapitał prawie wyłącznie się skupia w rękach niemieckich; wszelkie większe majątki ziemskie, wszelkie fabryki, kopalnie, huty, handel nie tylko większy, lecz i mniejszy i t. d. do nich należą. Chłopu polskiemu pozostają mniejsze gospodarstwa, które częstokroć konkurencji wytrzymać nie mogą i przechodzą w ręce kapitalistów i zaledwie tyle mu przynoszą, ażeby wyżył po „chłopsku“, i podatki zapłacił, lub też służba u „panów“. Służba u panów, obdarzając go zarobkiem tak lichym, że nawet po „chłopsku“ nie podobna mu życia opędzić, czyni go jeszcze zależnym od nich i pod względem moralnym. Nie ma on swej własnej inicjatywy; czyni tak jak mu każą. Zresztą posiadając od wieków wpajaną sobie uległość przed tem co się nazywa powagą, dobrowolnie gnie się w obec chlebodawców noszących lepszy surdut od niego i mówiących językiem, jakim mówią w „mieście“; dobrowolnie zabija w sobie wszelki materjał, któryby zeń samodzielnego uczynił człowieka. Ten dziedziczny brak własnej woli i poddawanie się wpływom silniejszych występuje w najjaskrawszych barwach u tej małej garstki „inteligencji“, która mimo ciężkich warunków, wychodzi z łona ludu.

Mieliśmy nieraz sposobność obserwowania młodych ludzi, poświęcających się naukom, zwłaszcza na wszechnicy wrocławskiej i ze smutkiem patrzyliśmy, jak im trudno się pozbyć tych śladów, którymi piętnuje człowieka długowiekowa niewola, pogarda, upodlenie. Rozwijają się powoli; ponad mechaniczne przyswajanie sobie wiadomości, potrzebnych do egzaminów rzadko który z nich się wzniesie: samoistniejszą myśl, szersze poglądy posiada tylko mała nadzwy-

czaj garstka wybranych. Przytem pozostaje im jako spadek smutnych stosunków, wśród których wzrośli, pewien rodzaj strachliwej pokory w obec księdza i junkra lub choćby nawet szlachcica polskiego w tej postaci, w jakiej się ci panowie pokazują na tutejszych uniwersytetach — w szczególności, a w ogólności w obec każdego autorytetu. Obierając sobie jeszcze stan, który sam przez się w wysokim wpływa stopniu na przytłumienie samodzielniejszych porywów, stan duchowny, nie dziw, że padają po największej części ofiarą czynników niemieckich, obdarzonych bardziej rozwiniętemi siłami intelektualnemi, większą energją i rzutkością jak n. p. dzisiejsi działacze w rodzaju Ballestraemów i Franzów.

Jeżeli więc w ostatnim czasie zaczęło się budzić poczucie plemiennej godności w obec plemiennej nienawiści, to przy tej „niedokrwistości" nawet w inteligencji, dość dużo jeszcze wody upłynie, zanim obecny ruch ogarnie całe masy, zwłaszcza, że i główne źródło, z którego wypłynęła reakcja przeciw prądom germanizacyjnym, nie zupełnie jest czystem. Walka kulturna oto najgłówniejszy moment, który wywołał pewne objawy życia w uśpionej ludności słowiańskiej. Ale walka kulturna zwrócona w swych zasadniczych idejach przeciw kościołowi nie mogła wychować szermierzy narodowych; mogła tylko wychować ludzi, którzy chwytając w celu obrony Rzymu, za każdą broń, która im wpadnie pod rękę, potrafili także znaleść dawno zardzewiałą szablicę— sprawę polską na Szląsku. Zaczęto agitować, a rozbudzającemi się gdzie niegdzie objawy antiniemieckimi zaczęto niby chustką czerwoną straszyć Bismarka, jak wiadomo bardzo wrażliwego na wszystko, co nosi nieszczęśliwą nazwę „polnisch". Tymczasem pokorny ludek polski, od wieków prowadzony na pasku autorytetu, biegł na oślep za swymi przewódzcami i mniemanymi przyjaciółmi, tracił dla nich częstokroć chleb u protestanckich lub żydowskich wyborców i wysyłał sporą liczbę „swoich" do parlamentu. Wiadoma rzecz, że dzięki Polakom górno-szląskim partja środkowa zyskała dwudziestu najgorliwszych szermierzy, tem gorliwszych, że w przeważnej części posiadających i imię arystokratyczne i wielki kapitał — czynniki, z którymi kościół katolicki związany jest najściślejszymi węzły.

Zdawałoby się, że indywidua, wyniesione do godności „przedstawicieli i obrońców ludu" przez lud, powinny wszelkiemi siłami bronić moralnych i materjalnych interesów tego ludu. O obronie interesów materjalnych, ani mowy być nie może, boćby to się sprzeciwiało wręcz ich własnym dążeniom, dążeniom wielkich kapitalistów, a jak bronią moralnego jego dobra, no — to facta doceant. Nie będziemy sięgali zbyt daleko, przypomnijmy tylko znane zebranie szlązkich katolików, które się odbyło we wrześniu roku zeszłego w Gliwicach, a którego przebieg aż nadto świadczy, jak to sprawiedliwymi rzecznikami polskiego i katolickiego ludu są ci katoliccy mężowie.

Pominąwszy tyle a tyle wykrzykników na temat „grosspolnische Agitation", pominąwszy odgróżki rozmaitych księży à la arcybiskupi komisarz Strzybny, ks. Edler, Reschke i inni, na temat: nie damy zasiewać ziarna niezgody pomiędzy Górną-Szląską katolicką bracią, t.j. między katolikami niemieckiemi (wielkimi posiedzicielami i księżmi, gdyż innych nie ma) a polskim ludem; zaklinania się na wszystkie świętości posła von Schalscha, że polonizować nie pozwoli — notabene ludu polskiego; opuściwszy tyle a tyle innych wiernopoddańczych zapewnień i antipolskich zaręczeń, powtórzymy nasamprzód w krótkich zarysach przebieg rozpraw nad faktem, w danym razie najbardziej nas dotyczącym — nad sprawą językową.

Zgromadzenie, unormowawszy na tym zjeździe program, którego się winni trzymać w parlamencie, postawiło jako szósty, ostatni paragraf, następujący postulat — „ażeby do wykładu nauki religji wolno było używać języka polskiego, czeskiego resp. morawskiego w tych szkołach ludowych, do których uczęszczają dzieci odpowiedniego pochodzenia“. Żądanie nadzwyczaj skromne zdradza samo przez się interes katolicki — więcej dla tego rodzaju przyjaciół ludu nie potrzeba. To też, kiedy jeden z szlachetniejszych, ksiądz Kirchniawy, chciał postulat ten rozszerzyć i wniósł, aby nie tylko religję lecz w ogóle wszystkie przedmioty wykładano w odnośnych językach, spadła na poczciwca cała burza z ust rozmaitych mówców, mianowicie zaś święte wargi znanego pewnie Szan. czytelnikom kanonika Franza pełne były nie bardzo świętego oburzenia. „Nie można narażać sprawy katolickiej podobnemi wymaganiami; obrona praw naturalnych i kościelnych jest naszem zadaniem; stawiając postulaty tyczące się języka niezależnie od religji, wchodzimy na pole dla nas niewłaściwe. Żądając podobnego rozszerzenia praw językowych, dotykamy zakresu innych przedmiotów; trzebaby nam wprzódy cały systemat zmienić; trzebaby nam wymagać, ażeby dzieci pochodzenia słowiańskiego, wprzód się nauczyły po polsku lub czesku, zanim im damy elementarz niemiecki, to zaś sprzeciwia się nietylko interesom niemieckim, cywilizacyjnym, ale wystawia na szwank i dobro kościoła. Oto hic Rhodus, hic salta! księdza Franza. Zresztą ks. Franz ma ze swego stanowiska najkompletniejszą rację — niech tylko będzie otwartszym; jego akcję potwierdza dziś orzeczenie ks. Bismarka na jednem z ostatnich posiedzeń sejmowych — „walkę kulturną podjąłem nie tyle przeciw kościołowi, ile przeciw panoszącym się coraz bardziej żywiołom polskim“. Znakomitym zausznikiem żelaznego księcia jest ten katolicki kapłan!

Niech mi wolno będzie przytoczyć inny jeszcze dowód tej opieki nad polskim ludem. Wychodzi w Bytomiu znane pismo „Katolik“, którego program nie wiele się różni od innych katolickich pism ludowych. Zapełnia on swe łamy, oprócz krótkich artykułów wstępnych, streszczających zwykle obrady sejmowe, krótkiemi korespondencjami ze wszystkich prawie okolic Górnego-Szląska. Uważny czytelnik znajdzie w tych miniaturowych sprawozdaniach mimo arcypobożnej zaprawy w tym rodzaju, że ludzie w tej a tej wsi nie chodzą do kościoła lub jeżeli idą, to kaszlą podczas kazania, że się nie zapisują do różańca, tańczą po karczmach, i t. p., niejedno pociągnięcie pióra, malujące smutne materjalne położenie ludu zwłaszcza w okolicach hutniczych i niejedną wzmiankę o ucisku, jakiego się dopuszczają urzędnicy i chlebodawcy na swoich podwładnych pod względem moralnym, zakazując im mówić po polsku, zabraniając im niewinnych zabaw i stowarzyszeń polskich i tym podobnych „anti-kulturnych zachcianek“ polskiego ludu. Szczera obrona tej uciemiężonej pod każdym względem ludności oraz polskość „Katolika“ była od dawna solą w oku tym panom. Zarzucając mu publicznie buntowanie klas niższych przeciw posiadaczom i „agitacją wielkopolską“, postanowili ci przedstawiciele szląskiego katolicyzmu zabić „Katolika“ i zastąpić go innem piśmidłem, które też od nowego roku wychodzi. Naturalnie, że w tej agitacji przeciw organowi ks. Radziejewskiego prym trzymał ks. Franz, sekundowali mu w godny sposób takie osobniki, jak ks. Philippi i ks. Widera. Charakterystycznem i dosadnio świadczącem o usposobieniu tutejszego kleru było wyrażenie ks. Widery, zwrócone do kan. Franza „nun, Herr Kanonikus, verschaffen sie uns einen tüchtigen Redacteur und wir werden schon das

Unsrige thun“ — i rzeczywiście, jak wzmiankowałem powyżej, słowo stało się ciałem i zamieszkało między nami.

Od nowego roku bowiem zaczęto wydawać w Katowicach nowe pismo, „Monikę“ połączoną nierozerwalnym węzłem z „Aniołem Stróżem“, mające zastąpić „Katolika“. Ażeby to przedsiębiorstwo tem większy miało pokup, postarano się o znakomity passe-partout, o aprobatę największej dla katolików szląskich powagi — wrocławskiego biskupa — Herzoga. Wielkie to zero, przed którem zawsze stoi niezbędne „jedno“, ks. Franz, kazało sobie napisać przez jakiegoś nadwornego znawcę „barbarzyńskiego“ języka rodzaj błogosławieństwa czyli raczej okólnika, który umieszczono na czele pierwszego numeru, a który dla oryginalności stylu i gramatyki w dosłownym podajemy odpisie:

Wrocław, d. 12 listopada 1885 r.

„Na doniesienie“ z dnia 4 b. m. odpowiadam Wielebnemu księdzu i księdzom (tak!) wespół podpisanym, że założeniem obu pism familijnych (tj. Moniki i Anioła Stróża), napełnia mnie żywą radością. Proszę Boga, żeby to przedsięwzięcie błogosławić raczył. Nie omieszkam polecić je Wielebnemu Duchowieństwu mojej dyecezji. Wielebnego księdza proszę wyrazić moje podziękowanie i moje uznanie tym księdzom (tak!), którzy wniosek (jaki?) podpisali, równie jak wszystkim tym, którzy to przedsięwzięcie popierają“.

Wielebnemu książęco-
Biskupiemu komisarzowi
Dziekanowi
Ks. Marks w Miechowicach. G. K. 5319 a.

Książe—Biskup
* Robert.

Rozpoczęto agitować na wszystkie strony, gorliwi o chwałę bożą i postępy germanizacji księża górnoszląscy zapowiedzieli podobno — tak przynajmniej pisał „Dziennik Poznański“ i my z prywatnej słyszeliśmy strony — że na kolendę nie przyjdą, jeżeli lud „Moniki“ nie zaabonuje, a ks. Sarner, redaktor tego pobożnego świstka, napisał list do Tow. Górno-Szląskiego przy Uniwersytecie wrocławskim, polecając swoje wydawnictwo. Nie mniej ciekawym pod względem ducha i stylu jest i prospekt; przytaczamy go tutaj, aby Szan. Czytelnicy mieli jeszcze lepsze pojęcie o kulturze szląskiej:

„Takie czasopismo ma być Monika, podobne do niemieckiego tygodnika, w Donauwörth w Bawarji wychodzącego, który katolikom po niemiecku mówiącym jak najbardziej polecamy (co czytelnikom polskiej Moniki do niemieckich katolików?). Nasza Monika ma zawierać nauki dla wszystkich wychowawców, na pierwszem zaś miejscu dla rodziców ludu szląskiego, po polsku mówiącego (czemu nie polskiego? Istnieje nawet pomiędzy członkami Tow. Górnoszląskiego prąd, którego zwolennicy nazywają siebie nie polakami, lecz szlązakami po polsku mówiącymi, aby się odróżnić od nadzwyczaj małej garstki tych, którzy się po prostu polakami mienią i szczerze z resztą młodzieży polskiej innych dzielnic sympatyzują), omijając wszelkich (tak!) spraw publicznych, szczególnie politycznych. Wydana (tak!) będzie bez (tak!) waszych księży!“

W dalszym ciągu nie będziemy nudzili powtórzeniem głośnej i tyle razy omawianej sprawy zaprowadzenia języka niemieckiego w kościele w Piekarach, ani też obszernem wytoczeniem procesu znanej taktyki centralistów szląskich podczas przeszłorocznych wyborów do parlamentu, gdzie bądź jak bądź życzliwszych interesom polskiego ludu kandydatów Letochę i Szmulę postawiono umyślnie w najniepewniejszych okręgach i to w okręgach, które tym posłom najmniej były znane. Szmulę — obeznanego ze stosunkami ludności

hutniczej w okręgu czysto agrarnym, wielko-strzeleckim, przeciwnie zaś Letochę, który ztąd właśnie dotychczas posłował, w okręgach hutniczych, w obec interesów, z którymi wzmiankowani posłowie najmniej byli obeznani. Z drugiej strony panowie szląscy posunęli się względem p. Letochy tak daleko, że zrobiwszy mu podobny co i „Katolikowi“ zarzut, chcieli go prawie gwałtem usunąć i tak go przycisnęli do muru, że szanowny poseł sam się pierwotnie zrzekł kandydatury, nie chcąc, jak się wyraził, narażać interesu ludu w obec możnych chlebodawców, gdyby go tenże mimo opozycji Ballenstraema i Franza do Berlina posłał. Sądzimy, że tych kilka przykładów starczy na udowodnienie, jakiemi uczuciami kierują się nasi serdeczni, sprawiedliwi sprzymierzeńcy, jak ich zwykł nazywać „Kurjer“ i „Dziennik Poznański“. Jakżeż w obec tych faktów brzmi rozczulanie się posłów centralistycznych na temat narodowości polskiej, jakiem kłamstwem wydają się choćby te słowa szlązaka Porscha: „Co do języka, to jesteśmy zatem, aby górno-szlązak uczył się języka niemieckiego, ale przedewszystkiem chodzi oto, aby on w ogóle czego się nauczył i aby się religji dostatecznie nauczył. Temu atoli na zawadzie stoją środki zbyt gwałtowne, a tego rezultat, że kształcenie ludu na Szląsku daje powód do obaw i że dzieci nie mają dostatecznych wiadomości religji“. Kłamstwo to mieści w sobie wielką dozę prawdy — normę, podług której kierują się powolni germanizatorzy; mieści w sobie słowa, które się stały ewangelją szląskich katolików: germanizować powoli, a prędzej przyjdziemy do celu.

Przechodzę dalej do zanotowanie kronikarskim sposobem kilku jeszcze faktów, charakteryzujących dosadnie działalność rządową w naszej prowincji. Najprzód rozporządzenie landrata raciborskiego, podług którego „wszyscy ci polacy, którzy bez pomocy tłumacza mogą się porozumieć w niemieckim języku, powinni być wpisani w odnośnej rubryce list statystycznych jako niemcy“. Powód do tego dało p. landratowi liczenie ludności, które wykazało, że liczba zamieszkałych w powiecie raciborskim niemców z wyjątkiem miasta samego — wynosi w stosunku do ogólnej liczby mieszkańców, zaledwie 14%. Dalej ukaz królewskiej prokuratorji, aby urzędnicy sądowi zdawali szczegółowe raporty, ile dzieci polskich nie może dawać zeznań sądowych dla braku znajomości języka niemieckiego i aby potem raporty te posyłali z wyszczególnieniem narodowości rodziców odpowiednim inspektorom szkolnym. Jest to aż na zbyt widoczne zakreślenie programu, jak ci cywilizatorzy mają sobie w szkole postępować.

W ogóle szkoła na Szlązku nie jest ogniskiem nauki, lecz raczej siedzibą najwstrętniejszego wyzuwania dzieci ze wszystkich szlachetnych uczuć. Odpowiednimi dla tych celów kreaturami są nauczyciele. Po większej części synowie chłopscy, przyzwyczajeni od samej młodości do gięcia się przed „panem“, który do tego jest niemcem, nie słysząc nigdy o jakichkolwiek węzłach, które ich łączą z pniem rodzinnym, wchodzą młodzi do seminarjum. Tu naturalnym sposobem nałykawszy się wyziewów „cywilizacyjnych“, poznawszy przytem społeczną różnicę pomiędzy ukształconym i honorowanym niemcem a szorstkim i pogardzanym chłopkiem polskim, nabierają powoli nienawiści do własnego gniazda i jak wszyscy nowochrzceńcy stają się „plus pape que le pape“. Demoralizowani przytem przez rząd, który za każde ich gadzinowe ukąszenie obdarza orderem i gotówką, posuwają się w swym germanizacyjnym zapale do tego stopnia, że pod surową karą zakazują dzieciom mówić lub śpiewać po polsku nawet we własnym domu. Mimo to wszystko jednakże język niemiecki nie robi spodziewanych postępów; nauka uprawiana w takiej szkole i przy takich wa-

runkach zamiast umysł ożywić i rozwinąć, zabija. „Schlesische Volkszeitung“ nawet przytoczyła w pierwszych tygodniach tego roku list jakiegoś księdza, który treścią swoją zadaje kłam pruskiej cywilizacji. „Co to jest, pyta się rzeczony ksiądz chłopca w szkole, pokazując mu cyfrę „pięć“? „to jest fünf“, odpowiada malec. Co to jest „fünf“? „ja niewiem“. Widziałeś już „fünf“ gruszek? „Nie“! A widziałeś „pięć“ gruszek? Dopiero na to dał chłopiec przytakującą odpowiedź! Ustęp ten powtórzyliśmy dosłownie za rzeczoną gazetą. O lichych postępach w języku niemieckim i w ogóle o stanie cywilizacyjnym na Szląsku dzięki tej taktyce świadczy i tabela, którą za gazetą „Post“ podaje „Schlesische Ztung“ organ tutejszych konserwatystów czy nacjonał liberałów, jak chcecie, gdyż dwa te stronnictwa splotły się obecnie w uścisku wężowym w nikczemne “jedno„. Oto i liczby: w obwodzie rejencji wrocławskiej wzrosła liczba rekrutów, nie mających wcale znajomości języka niemieckiego od r. 1882/3 do 1884/5 z 0,78 na 0,93; analfabetów zaś było na 1000 rekrutów w obwodzie rejencji;

	1866/7	1871/2	1875/6	1880/1	1881/2
wrocławskiej	64	18	16	6	4
lignickiej . .	7	6	11	9	4
opolskiej . .	75	68	67	43	35

Na każdy 1000 rekrutów posiadających szkolne wykształcenie, znajduje się jednakże pewna liczba takich, którzy tylko po polsku czytać i pisać umieją a mianowicie:

w rejencji	1866/7	1871/2	1875/6	1880/1	1884/5
wrocławskiej	6	8	9	11	9
opolskiej . .	408	480	421	424	352

Można sobie wystawić jakim strachem napełniają pruskich kulturników liczby z Opolskiego.

Ten sam dziennik podaje dalej, że w czasie czterech lat, t. j. od r. 1881 do 1884 zawarto na Szląsku 1.942 ślubów pomiędzy analfabetami; dalej że na 128.815 ślubów w tym samym czasie zawartych, nie umiało się podpisać mężczyzn 4.003 a kobiet 7.261.

Wymowne to cyfry, i świadczą — zwłaszcza ostatnie — o stanie szkolnictwa w naszej prowincji.

Widzą to i katolicy tutejsi i zalecają rządowi, aby dla germanizacji powoli kopał kanały, gdyż w ten sposób prędzej do portu zawinie — „germanizacja na Górnym Szląsku postępowała normalnie, a gdyby się tu i owdzie wstrzymała i w miejsce jej weszła propaganda narodowo-polska, to jedynie rząd byłby temu winien, z powodu wprowadzonej tu sprawy językowej i kulturkampfu“, mówił w sejmie temi dniami powyżej już wspomniany adwokat wrocławski, p. Porsch. Tyle na dzisiaj.

Franciszek Szyba.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: **Stanisław Maniecki.**

Książki nadesłane do redakcji „Przeglądu Społecznego“.

MANFRED, poemat dramatyczny Bajrona. Przełożył z angielskiego Florjan. Nakładem tłómacza. Kołomyja, 1886.

KNIAŻYJ PERJOD UKRAINY-RUSI do smerty Wołodymyra Monomacha D. Iłowajskoho t. I. Ternopol, 1886.

Z OKIEN WAGONU. Wrażenia z podróży po Skandynawii. Z notatek przepisał K. Ostaszewski-Barański. Nakładem księgarni Leona Pordesa. Lwów, 1886.